



<http://rcin.org.pl>

Egz. archiwalny IBL

M

F. BRODOWSKI

Edycja archiwalna III.

ARIEM



H. Czerny

BIBLIOTEKA DOMU POLKIEGO

Exp. archiwalny 181

FELIKS BRODOWSKI

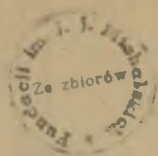
MARIEM

INSTYTUT
BANKIETOWY RICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-83



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
1928

<http://rcin.org.pl>



*Oktadkę projektował art.-ma. Henryk Nowina - Czerny
Tłoczono w Zakładach Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.*

21.836

I.

Przed wojną miasto Ł. było siedzibą gubernatora i rościło się w niem od czapek z gwiazdkami.

...Pocziwe miasteczko! Pieszczę cię w wspomnieniu, a wspominam sercem — i dlatego zapewne o wszystkim, czemeś mnie zraniło, zapomniałem dawno, zaś wszystko czemeś rany zadane goiło, mam w pamięci. Szły przez ciebie ostre wichry zimowe, lecz ktoby tam o nich pamiętał, zato każda wiosna, co stroiła cię młodą zielenią — jeszcze dziś, po latach, mi pachnie. I jeszcze mi nie ucichły skowronki, rozśpiewane nad pszenicznymi łany za miastem i nie wyblakły soczysto-zielone twe łąki nadrzeczne i jeszcze, jak dawniej, bierze mnie w swe ramiona zaduma twego cmentarza, gdzie to przesiadywałem u skromnej płyty grobowej autora pierwszego polskiego romansu historycznego. Przelewała się tam nade mną ukojność wieczna i zapomnienie. A urok nocy księżycowych, kiedyś błąkał się po uśpionych zaułkach twego ghetta żydowskiego, ta ich „srebrna cisza” jakby powiedziała Konopnicka — jeszcze ode mnie

nie odleciała. Lecz nadewszystko nie zapomnieć mi zacności serc prostaczych, które na nieśmiałe moje do nich pukanie, otwały mi się tam przyjaźnie. — Twoje życie, to jak wody ciche, głębokie. Nie na powierzchni, lecz na dnie ich, w mule — szukać pereł!

W owe czasy Ł. było oddalone od stacji kilkanaście wiorst. Komunikację utrzymywały przedpotopowe dorożki żydowskie, a frachty kolejowe dowoził żyd, Bocian, posługując się prastarą arką, nad którą na olbrzymich obręczach było rozpięte płócienne nakrycie. Był on dostawcą wprawdzie powolnym, lecz akuratywnym i o tę opinię dbał daleko więcej, niż o to, iż jego nazwisko, tak swojsko brzmiące, miało tę niedogodność, że do osoby niezamężnej nie wypadało zwrócić się z pytaniem — czy odwiedził cię Bocian lub czy wyglądasz Bociana, boby to mogło być poczytane za ubliżający dwuznacznik.

Nie wiem jak dziś jest, ale wtedy to miasto obywało się bez wodociągów, bez elektryczności, bez dobrych bruków i wielu innych rzeczy przyjemnych i użytecznych, ale zato ozdabiała je stale obecność gubernatora, mnóstwa wojskowych i urzędników wszelkich dekasterji. Pod względem moralno-obyczajowym niepospolitą ozdobą miasta był „narodny dom” — Dom Ludowy, który miał służyć do tego, aby na gruncie wspólnych kulturalnych rozrywek zbliżyć z sobą Polaków, Rosjan i Żydów. Dziwną rzeczą koleją, zabawiały się w nim jedynie bardzo wyróżniane panienki i bardzo podchmieleni feldfeble. Zabawy te odbywały się tylko raz na ty-

dzień pod nazwą „wieczornic tancujących“, ale były tak hałaśliwe i kończyły się tak niezwykle mi przygodami, że na cały tydzień było o czym gadać, że zaś gadali o tem, i Rosjanie, i Polacy i Żydzi, przeto cel polityczno-kulturalny Domu Ludowego był poniekąd osiągnięty.

Szpetny to był budynek, czerwony, niesmaczny. Przylegał doń ogród młody jeszcze, nierozrosły, ale wiosna i z niego umiała wyczarować skromny powab. Tu mi kiedyś zapachniały wielkie pąsowe goździki.

Dom Ludowy był źródłem troski i nieustannych niepokoju dla gubernatora Papujdogło. Jego poprzednik, przekazując mu władzę i pieczę nad gubernją, ze wzruszeniem opowiadał mu o nadziejach, jakie sfery wysokie i najwyższe przywiązują do rozkwitu takich instytucyj, jak „narodnyje doma“, i zakończył temi słowy: „Weźcie tę sprawę do serca, ekscelencjo! Ja wystawiłem Dom, wy zapewnijcie mu pomyślny rozwój. Niech moje skromne ziarno pod pieczołowitą ręką waszą wyda kwiat wonny!“ To też, wychodząc na swą codzienną, ranną przechadzkę, ekscelencja Papujdogło niezmiennie kroki swe kierował ku Domowi Ludowemu, by naocznie się upewnić, że stoi on jeszcze na swem miejscu, stwierdziwszy to zaś z zadowoleniem, badał troskliwie, czy po ostatniej wieczornicy, burzliwszej od poprzednich, wszystkie już szyby zostały wprawione i czy wszystkie drzwi, przez rozbawionych gości z zawias wyrwane, już napowrót na właściwym miejscu osadzone zostały. Czasem, z prawdziwą przykrością postrzegał, gdzieś pod parkanem, czy nawet

w ogrodzie jakieś szczątki połamanych krzeseł lub stołów, kawałki potłuczonych talerzy lub luster. Wtedy, z groźnym błyskiem w oku, przywoływał intendenta Domu Ludowego, Pawła Siemionowicza Barabaszkina.

Eto czto? — zapytywał, wskazując na nieuprzątnięte wspomnienia wieczornicy a głos jego ostry miał w sobie coś z świstu nahajki.

Intendent, lubo był jednym z najgorliwszych zwolenników wieczornic i mocnych napitków, czuł się w tej chwili, jak robak przygnieciony obcasem. Drżał, potniał i ze strachu odczuwał coś podobnego do ataku białej gorączki, skutkiem czego nie zdawał już sobie sprawy, czy ma przed sobą ekscelencję, czy wielkiego księcia. Wiec bełkotał nieprzytomnie:

— Ekscelencjo... Wasza cesarska wysok... To nic nie jest! To tylko — resztki!

— Jakie resztki, czego resztki — durniu jeden?

— Resztki tego, co się już nie zmieściło na wóz, wasza cesar... Ekscelencjo! Przed chwilą odjechał stąd wóz do wierzchu wypełniony połamanymi sprzętami i skorupami. A to—a to,— dodawał, wlepiając błędne spojrzenie w naczelnika gubernji — i z rozpaczą, podnosząc obie ręce w górę — to już się nie zmieściło!

Skrucha jego była tak szczerą, że kamień by zmiękł, ale greckiego pochodzenia ekscelencja był twardszym od greckich marmurów.

— Dureń, dureń, dureń — świstał jego głos, a z czarnych oczu leciały błyskawice, w których ogniu czuł intendent, iż zapada w nicość. Dureń — boś powinien rozumieć, że gdy ja tedy

przechodzę, niema tu już być żadnych resztek i ma być tak czysto jak w kaplicy cerkiewnej, rozumiesz? Jak w kaplicy cerkiewnej!

Przygnębiony intendent pochylał głowę bezwładnie opuszczając ręce niemal do ziemi. I w tej pozycji, z gołą głową, w mundurze, którego łatane poły wiatr rozwiewał, stał nieruchomy, jak w słup soli zamieniona żona Lota, aż do chwili, gdy gubernator, ukończywszy spacer po ogrodzie, powrócił do tego samego miejsca, gdzie zostawił nieszczęśnika. Rzuciwszy okiem na jego zbiedzoną minę, przemawiał doń głosem mniej świszczącym:

— Popraw się, Pawle Siemionowiczu. Mówię ci — popraw się i powinność swą spełniaj należycie.

Intendent naraz odzyskiwał elastyczność członków, prostował się i po żołniersku salutują dłońią, rzeźko odpowiadał:

Rad starał'sia, wasze prewoschoditeľstwo! ¹⁾

Podczas gdy ekscelencja odbywał raną przechadzkę, różnoplemienna ludność tego miasta, przyglądając się ostrym, wschodnim rysom, oliwkowej cerze, siwej śpiczastej bródce i czarnym jeszcze mimo późnego wieku dość ognistym oczom ekscelencji, miała przed oczami żywy przykład, jak bywa wynagrodzona cnota, praca i wierność. Ojciec pana Papujdogło przybył do Rosji ze swej słonecznej greckiej ojczyzny w bardzo dziurawych pantoflach; zamiast koszuli nosił na ciele grubą, starannie utrzymaną warstwę

¹⁾ Rad będę spełnić rozkazy, ekscelencjo.

brudu i za cały багаż miał pudełko jakichś greckich słodyczy. Nosił je pod pachą i zachwalał swój towar nie tyle uprzejmie co natrętnie, ale to wszystko nie mogło mu jeszcze zjednać fortuny. Zawdzięczał ją nosowi. Miał dobry, ostry węch. Poznano się na tem i odtąd los jego był ustalony. Rozpoczął karierę w sposób — że tak powiem — poufny, jako wywiadowca (tak to się dziś delikatnie mówi), a skończył na takim stanowisku, że bez przechwałki mógł powiedzieć:

— Mój syn nie zadowolni się mniejszym urzędem, niż gubernator, chociażby w jakimś „prywiślinju”!

I tak się stało, bo syn poszedł drogą, wskazaną mu przez ojca — drogą cnoty, pracy, usłużności i wierności.

To była dydaktyczna, pouczająca strona rannej przechadzki *jewo prewoschoditielstwa*. Ludność różnoplemienna nabierała gustu do cnoty.

II

Może nie każde dziecko w Ł. znało eks-celencję, lecz z pewnością nie było takiego, któreby nie znało domu Milk'na.

Po pochwłości wzgórza, wzdłuż ulicy, zbiegającej w dół, ku rzece, które opasuje południową część miasta, ciągnął się szereg domów murowanych, coraz to zniżających się w miarę zniżania się wzgórza, dzięki czemu wyglądały jak stopnie olbrzymich schodów. Ten szereg czterech czy pięciu domów, jednakowo

na żółto wymalowanych, poczynął się w górze, tuż przy murach starej, kilka wieków pamiętającej katedry, kończył się zaś w dole, u parkanu jakiegoś wielkiego zapuszczonego ogrodu, który zimą był przytułkiem wron i kawek, a latem — włóczęgów i złodziejasków. Dalej zaczynała się już uboga dzielnica nadrzeczna, błotnista i szara, ze składami drzewa, łąziami i nędznymi chatami rybaków. Żółte domy były własnością Milkina i miały od tyłu jedno olbrzymie podwórze, zabudowane w czworobok domostwami i budynkami gospodarskimi, które piętrzyły się jedne nad drugimi, uwydatniając spadzistość wzgórze. Wjechać na to podwórze i wyjechać zeń bez szwanku nie było rzeczą łatwą, zwłaszcza w porze zimowej ślizgawicy, i z tej przyczyny pewnie woziwoda, gdy koń jego złamał tu nogę a obie olbrzymie beczki wypadły z sań i jak lawina potoczyły się, ochlupując wodą, na sam dół wzgórze, podniósł dla mieszkańców milkinowskich cenę wody o grosz na wiadrze, czyli o pół rubla w opłacie miesięcznej. To wywołało wielkie rozgoryczenie wśród praczek, z tego zaś wynikła rewolucja podwórzowa; zwycięstwo jednak zostało przy woziwodzie, który z zimną krwią wytrzymał atak rozjątrzonych niewiast i chociaż postradał parę garści włosów z brody, lecz ceny nie obniżył.

Z powyższego wynika, iż to, co popularnie zwano w mieście „domem Milkina“, było właściwie zbiorowiskiem domów. Tu były żółte kamienice od frontu a w podwórzu cała gromada drewnianych, mniej lub więcej odrażających, mniej lub więcej postarzałych domostw; jedne

z nich, piętrowe, miały wzdłuż swych pięter biegnące ganki, podparte słupkami, skrzypiące i uginające się pod stopami tych, co z ganku dostawali się do swych mieszkań; na ganek wiodły schodki nie mające nad sobą żadnego daszku, opatrzone chwiejną poręczą, w zimie pokryte zamarzłem błotem i straszliwie śliskie. Inne domki, parterowe, z wysokimi spadzistemi dachami, ziały ciemną czeluścią swych sionek brudnych i cuchnących. Na samym dole tego górzystego podwórza była od ulicy brama wjazdowa, z belek wystawiona i znów gromady całe drewnianych i murowanych, piętrowych lub niskich komórek, klitek jakichś, schowanek, tudzież wozowni i stajen, do których późną nocą wracały na spoczynek strudzone konie woziwołów.

W Ł. — jak mówiłem — nie było wodociągów. Ta okoliczność jednym wydawała się przykrą, gdy innym była na rękę.

Co, na przykład, mogło szkodzić woziwodom, iż nie było wodociągów? Proceder ich był dosyć zyskowny i prawie bez ryzyka. Jedynym ryzykiem było to, iż stara, ślepawa szkapa mogła na podwórzu Milkina połamać nogi, ale i tu znalazła się rada taka, iż gdy wóz z beczkami lub sanie wjeżdżały na tę niebezpieczną pozycję, to koniowi dopomagała do wydzwignięcia się w górę, lub przy zjeżdżaniu w dół gromada żydowskich wyrostków. Nie jedna mała fortunka w postaci domeczku z ogródkiem na Rywałtowskiej ulicy, lub w postaci sutego wiana dla córki lub kapitaliku dla rozpoczynającego zawód kupiecki synka, wykwitła nie z czego innego, jak

z wody w dosłownem znaczeniu, z wody, bez której żaden z mieszkańców obyć się nie mógł i której dostawę zmonopolizowali w swych rękach Żydzi. A że Żydzi odznaczają się solidarnością, więc nikogo pewnie nie zdziwi to, iż nie było zdarzenia, aby który woziwoda wystąpił z projektem założenia wodociągów miejskich. Przeciwnie, wszyscy oni zgodnie stali na tem stanowisku, iż należy wszelkimi przyzwoitemi sposobami — a najnieprzyzwoitszym zawsze i wszędzie była i będzie łapówka — wpływać na ojców miasta, iżby zapytywani przez gubernatora lub inną władzę, czemu nic nie przedsięwzięją w sprawie wodociągów, odpowiadali, że miasto ma pilniejsze potrzeby, i że nie było jeszcze zdarzenia, aby ktoś w tem mieście umarł dla braku wody lub z powodu opóźnionej dostawy jej. Z tą ostatnią jednak opinią prezydenta miasta możnaby się nie zgodzić, bo jeśli nawet nikt nie umarł z powodu nieprawidłowego funkcjonowania ruchomych wodociągów, to powolność woziwodów niejednego wprawiała w taką irytację, jaka nikomu żadną miarą na zdrowie wyjść nie może. Do liczby tych malkontentów należeli nawet ludzie, posiadający tak wyjątkowo gołębnie serce i pogodny zawsze umysł, jak Dawid Minder z domu Milkina. Otóż i ten nawet tak niezwykle na wszystko wyrozumiały człowiek a w dodatku spółwyznawca woziwodów tracił cierpliwość, gdy jego ukochana mała Mariem nie mogła zrana w łóżeczku doczekać się herbaty, ponieważ w ich izdebce nie było już ani kropli wody. Wtedy to już i Minder pod adresem woziwodów mówił, że „dłużej nie wy-

trzyma z temi łajdakami", tarł sobie czoło, tarzał swą brodę, coraz to wyglądał do sieni, na ganek, i na podwórze, a gdy już wytrzymać nie mógł, zlatywał pędem po stromych, spadzistościach podwórza na ulicę. Dostrzegłszy zaś zdaleka kroczącego leniwie przy swym wozie wozwodę, zachęcał go do pośpiechu tak gwałtowną gestykulacją, tak wymownie pięściami swemi obiecywał połamanie wszystkich gnatów, że niktby nie chciał dać wiary, iż to jest ten sam Minder, którego dobroć i uprzejmość wszystkim była znana.

Gdy wreszcie woda przybyła do mieszkania, Minder już z całym spokojem i bardzo systematycznie, na palcach, wyliczał wszystko to zło, jako to: utratę wszystkich zębów, połamanie nóg, wykręcenie rąk i t. p., których on, Minder, życzyłby woziwodzie, gdyby Mariem miała jeszcze pięć minut dłużej czekać na herbatę. Ponieważ jednak woda była już nalana do imbryka a imbryk stał już na fajerce, przeto on, Minder, życzy Fiszlowi Noserowi tylko tego jednego, by nazajutrz nie spóźnił się z wodą. Bo Minder, niestety, był tak ubogi (— czyż Sokrates był kapitalistą a Djogenes czyż nie mieszkał w beczce?), iż w izdebce swej nie posiadał nawet stągiewki, w którejby mógł zbierać zapas wody na kilka dni i musiał ten zapas odnawiać co dnia, ku czemu służyły dwa kubelki blaszane.

Fiszel Noser słuchał monologu Mindra w głębokim spokoju, czy też z zupełną obojętnością. Wychodząc zaś odzywał się:

— Dlaczego miałbym się spóźnić? Na świe-

cie wszystko następuje we właściwym czasie. Powiedz-no Minder, czy człowiek mógłby się narodzić wcześniej, niż się narodził? A potem w swoim czasie się żeni, w swoim czasie ma potomstwo i w swoim czasie umiera. I ja wam wodę przywożę zawsze w swoim czasie.

Mądre te słowa dowodziły, iż filozofja głęboko ale pogodnie ujmująca zagadnienia życiowe, bywa cechą umysłu nietylko ubogich krawców, na starość trochę niedowidzących, jak Dawid Minder, lecz i woziwodów.

Gdy kroki odchodzącego woziwody, kroki ciężkie w grubych, podkutych butach, słycać było już na skrzypiących schodkach, z ganku nadół wiodących, Minder zamyka za nim drzwi i ma już na ustach zwykły, łagodny uśmiech, a w oczach swą słodką, dziecięcą zadumę.

I pomrukuje do siebie:

— Tak, tak. Ma rację. Wszystko ma swój czas, wszystko dochodzi w swoim czasie.

Ale oto woda już się gotuje. Minder nalewa wielką szklankę herbaty, dolewa do niej parę łyżeczek mleka, słodzi dwoma łyżeczkami „kryształu”, ustawia na płaskim talerzu, obok spo-rej kromki chleba i wszystko to niesie ostrożnie do łóżka, na którym nic innego nie widać, jak tylko nastroszoną wysoko pierzynę. W tym jednak momencie ktoś odrzuca pierzynę, pokazuje się główka z czarnemi, potarganemi włoskami, wesołe oczka, białe szczupłe rączki. Rozlega się wesoły śmiech, podobny do świergotu ja-skółek. Minder siada na łóżku z talerzem w ręku, dmucha na gorącą herbatę, miesza ją sta-

rannie łyżeczką i przestrzega Mariem, by się nie sparzyła.

A gdy dziewczynka zacznie się już posilać i weźmie mu z rąk szklanekę, jej dziadek długimi swemi a szczupłymi palcami ostrożnie rozczesuje czarne włoski, przygląda jej dłonią i poszeptuje do siebie:

— Tak, tak! Wszystko ma swój czas, wszystko w swoim czasie. I dla ciebie, Mariem moja, przyjdzie czas, że ktoś mi cię porwie, ktoś mi cię zabierze. I co ja wtedy pocznę i czy zdołam żyć bez ciebie — i czy aby śmierć wtedy nie będzie się tak do mnie opóźniała, jak ten nasz woziwoda!

Można być bardzo pogodnym filozofem, bardzo dla wszystkich i na wszystko wyrozumiałym, a jednak czasem trudno ukryć łzę w oku. Tak bywa i z Mindrem. Po zwiędłych jego policzkach ścieka bardzo wolno łza; nie ociera jej, bo w jednym ręku trzyma wciąż talerz a drugiej nie może oderwać od ukochanej główki. Lecz Mariem łzę tę spostrzega i pyta, zajadając ze smakiem chleb:

— Co to jest? Czy dziadko płacze?

— Ale gdzieżtam, kochanie. Ja mam wielki katar.

I żeby ją zabawić kicha umyślnie: „Ap-sik!” — tak głośno i komicznie, iż Mariem wybucha śmiechem.

III.

Umieć pokazać ludziom twarz pogodną, gdy czuje się w sercu ostry cierni — sztuka to niemała i jedna z najtrudniejszych. Minder posiadał ją w tak doskonałym stopniu, że ta jego sztuka w oczach ludzi przedstawiała uchodzić za sztukę i wydawała się naturalnym odruchem. Wszystkim był znany i z tego, że mu się nie powodzi w interesach i z tego, że sam pierwszy wyśmiewa się ze swych niepowodzeń. Ale na jedną rzecz nikt jakoś nie zwrócił uwagi, a to — że między każdym niepowodzeniem, jakie go dotknęło, i chwilą, kiedy po tem niepowodzeniu począł się pokazywać ludziom z uśmiechniętą twarzą, zawsze upływał pewien czas, w ciągu którego Minder nikomu się nie pokazywał, a coby wtedy robił — tego niczyje oko nie widziało i niczyje ucho nie słyszało. I mnie ani oko, ani ucho nie wyjawiało tej tajemnicy; opowiedziało mi ją — serce. Z tego źródła, stokroć pewniejszego i bardziej nieomylnego nad wszelkie świadectwa oczne i uszne, wiem z pewnością, iż w owym przeciągu czasu Minder siadywał w najciemniejszym kątku swej izdebki, że kiwał się bezustannie jakimś starczem, bezwładnem kiwaniem a z ócz jego płynęło dużo łez a usta pojękiwały cicho i żałośnie. Tak było i wtedy, gdy oszukał go spółnik, z którym założył sklep — i wtedy gdy pod boki usadowił mu się konkurent, który odebrał mu prawie cały zarobek — i wtedy, gdy mu ukradziono koguta, przeznaczonego dla

Mariem na święta — i zawsze, gdy spadało nań jakie strapienie.

Są na świecie strapienia, lecz są prócz tego i nieszczęścia. Nieszczęściem prawdziwym i chyba największym jest — utracić swe dziecko, a to dlatego, że najnieszczęśliwszym w świecie człowiekiem jest ten, komu wypadnie śmierć bezpotomna, bo taka jest śmiercią doszczętną. Utracić potomka jest to urwać ciągłość swego bytu ziemskiego. Dobrze byłoby coprawda żyć i nie umierać samemu, lecz gdy to jest niemożliwe, trzeba wejść w kogoś i w tym kimś żyć dalej. Minder lubił i umiał pocieszać ludzi zmartwionych, co płynęło zapewne i z pogody jego ducha — która, jak pogoda dnia letniego, chce przeniknąć do wszystkich zakątków — i z tego, że sam miał sposobność dobrze poznać szkodliwość Boską w rozdawaniu zmartwień. Owóż — gdy zdarzyło się, że umarł człowiek pozostawiający dzieci, Minder nie zaniedbał przy tej okazji powiedzieć do osób, oplakujących nieboszczyka:

— I czemuż to płaczecie nad Lejzorem (jeśli to był Lejzor), czy tu nie stoi przed wami jego syn. A czy ten syn to nie jest kość od kości, ciało od ciała i krew od krwi Lejzora? Więc gdy on z kością, ciałem i krwią stoi przed wami, to pocóż go oplakiwać jak umarłego? On tylko troszkę odmłodniał.

Lecz gdy kto utracił dziecko, Minder nawiedzając dotkniętych stratą, milczał jakby zaniemówił. Conajwyżej głaskał tych ludzi po rękach, lub głowę strapionego ojca, czy matki przyciskał do swojej piersi o potem ucałował

bardzo czule. Ale ani jednym słowem pociechy się nie odezwał. Bo co tu słowa zdziałać mogą! Tu stało się nieszczęście, które uczcić należy tylko milczeniem.

Historja Hjoba dlatego zapewne została nam w Piśmie Świętem opowiedziana, aby była nauką, że gdy Bóg kogo kocha, tedy wzajem i od niego żąda miłości, a dla wypróbowania jej stałości, zsyła na człeka utrapienia i nieszczęścia. Dlaczego nie miałoby to być prawdą? A jeśli jest w tem prawda, to Minder nie mógł się uskarżać na obojętność dlań Boga. Nie zabrał mu Pan Bóg wprawdzie siedmiu tysięcy owiec, trzech tysięcy wielbłądów, pięciuset jarzm wołów i pięciuset oślic, jak to uczynił Hjobowi, ale jakżeby mógł zabrać, skoro mu nie dał ani jednego, zwierzęcia, jeśli nie brać w rachubę okaleczonego kota, którego Minder wyciągnął ze śmietnika, przyniósł do domu i potrochu doprowadził znów do stanu takiego, że kot mógł zpowrotem wziąć się do łapania myszy, co było niezbędne ze względu na ubogi stół Mindra. Ale nie dać nic — lub wszystko, co dane zostało, zabrać, czyż to w rezultacie nie wynosi na jedno? Tedy Minder nie był w o wiele mniejszej łasce u Boga niż Hjob, a gdy jeszcze Pan Bóg zabrał mu jedyne syna, wkrótce zaś potem i synowę, matkę Mariem'y, to stanął już prawie zupełnie narówni z Hjobem.

Ale wtedy to Pan Bóg postrzegł Mindra, gdy ten, stojąc u grobu swego potomka, wyciągnął ręce ku niebu z żalnością nieopisana, lecz bez jednego słowa skargi. Naówczas Bóg uznał, że w ubogim krawcu tkwi dusza męska, serce

wierne Bogu i nie dające się skruszyć, postanowił go więc wynagrodzić. Hjobowi, przywróciwszy go do łaski, dał Pan Bóg owiec, wielbłądów, wołów i oślic dwa razy więcej niż mu był zabrał; prócz tego dał mu siedmiu synów i trzy córki piękne jak zorze — Jeminę, Kietzyję i Kierenhappuch. „A nie znalazło się w wszystkiej ziemi onej panien tak pięknych, jak córki Hjobowe” — powiedziano w Piśmie.

Mindrowi Pan Bóg dał tylko — Mariem.

Ale musiał to być dar znacznej wartości, bo oddając ją, powiedział Pan Bóg Mindrowi (tak cicho, że nikt inny tego nie dosłyszał):

— Na nikogo się nie zdawaj. Czuwaj nad nią sam!

Upomnienie to — coprawda — było zbyt cenne, bo nie było takiej mocy, któraby mogła skłonić Mindra do powierzenia wnuczki komu innemu. Miała Mariem całą gromadę ciotek, wujów, bliższych i dalszych krewnych i cała ta gromada zgodnym chórem twierdziła, iż Minder jest za stary i za ubogi i nie da sobie rady z wychowaniem dziewczyny. I każdy chciał wziąć sierotę do siebie a stąd powstał spór i duży hałas.

Wtedy Minder zawołał: „Sza!”. Gdy nikt nie zwrócił na to uwagi, powtórzył swój wykrzyk, a gdy i wtedy harmider nie ustawał, wrzasnął: „Sza!” tak przeraźliwie, że wszyscy umilkli zdumieni skąd mu się wziął taki silny organ głosu. A wtedy Minder, nie mówiąc ani słowa, owinał Mariem chustką, wziął ją na ręce i zaniósł do swej izdebki. Idąc mruczał do siebie:

—Niech sobie gadają do sądnego dnia co chcą, a ja wiem, że nikt jej nie usłuży tak, jak ja.

Mariem pozyskała niańkę z pejsami i brodą, ale czułość tej niańki, troskliwość i poświęcenie było nad zwykłą ludzką miarę.

Długie życie Mindra, lubo szare i monotonne w oprzędzie biedy, nie było jednak wyzute z drobnych ludzkich uciech i radości. Wszak był kiedyś młodym. Upodobał sobie ładną dziewczynę. Zdobył ją. Długo nie mógł doczekać się syna, ale doczekał się zczasem. Były to blaski życia, złociste, słoneczne, a choć skromne i przemijające, jednak były. Otóż wszystko, co zaświeciło mu blaskiem i dawno już zagasło, teraz znów zajaśniało. W Mariem! Jak brylant w niepojęty sposób skupia w sobie świetne swe ognie, tak w niej cudowną grą światła zabłysło wszystko, co kiedykolwiek rozjaśniło żywot Mindra. Kochał ją — to pewne, ale i to pewne, że w niej kochał swe wskrzeszone dzieciństwo, a potem w niej miał kochać zbudzone tęsknoty lat młodych. Słowem — w niej i przez nią rozpoczął nowy cykl swego życia.

Stąd miłość ta — choć wielka, nie była wolna od drgnień egoistycznych.

Taka miłość częstokroć prowadzi do tyranji. Może i Minder był już bliski tego błędu, ale gołębie jego serce zawsze w porę go ostrzegało przed wszystkim co mogłoby zrządzić komu krzywdę...

IV.

Coś w rodzaju tyranji dziadka poczęła odczuwać Mariem w tych latach, kiedy każda dziewczynka chce już coś robić; kiedy nie wystarczają jej zabawy z rówieśniczkami, kiedy chciałoby się pomagać w gospodarstwie, stać się czynnym, użytecznym kóteczkim w domu. A tu zrana dziadek nie daje jej się ruszyć z pod pierzyny, póki sam nie zgotuje herbaty i sam nią nie napoi wnuczki!

Wstanie. Co ma robić? Wie że daleko prędzej i zgrabniej obiera kartofle niż dziadek. Kzuca na niego okiem. Minder siedzi na stole przy oknie i w okularach, zesuniętych na sam koniec długiego nosa, zeszywa czyjs surdut. Może nie zobaczył Mariem ostrożnie wyciąga z pod stołu koszyk z kartoflami i poczyną je obierać. Kartofle tylko migają jej w rękach. Naraz słyhać brzęk spadających okularów. Minder zeskakuje ze stołu.

— Co ty robisz! Nie, nie, nie! Porzuć to. Ty zagrubo je obierasz, tyle razy ci to mówiłem.

— Ale dziadziu zobacz te obierki, czy mogą być cieńsze! Dziadziu, ja się nudzę; co mam robić?

Minder biegnie do okna i rozgląda się po podwórzu a dostrzegłszy w jakimś zakątku skupioną gromadkę dziewcząt, przywołuje Mariem.

— Popatrz-no, kto tam jest i co one tam robią?

Mariem przyglądała się uważnie.

— Tam jest Teklunia, tam jest Frania...

— Co za Teklunia?

— Dziadzio nie wie? Marcinkowska. To córka tego buchaltera, dla którego dziadzio coś tam uszył w przeszłym tygodniu. A Frania to córka stróża, Łazikówna.

— A ty się bawisz z niemi?

— Tak. To bardzo miłe dziewczynki.

— Miłe? Hm... A czy one tak samo mówią o tobie?

— Bo ja wiem. Ale może mówią tak samo, bo my się wszystkie lubimy. Tam jeszcze jest Ryfcia od stolarza, Menia i Denia Kotlarzówny; tam jeszcze jest...

— Czekał, czekał... A w co się bawią?

— Zaraz. Przyjrę się. Zdaje się, że w ciupy. Nie, one się bawią w orzechy do dołka. Wie dziadzio? Rzucą się najpierw dwa orzechy...

— Dobrze, dobrze.

Minder zapuszcza rękę do swej kieszeni, wyciągając miedziany pieniądz, i podaje go Mariem.

— Biegnij do Aufla, kup sobie orzechów i idź się bawić.

Czuje jednak, że takie załatwienie sprawy dobre jest na godzinę, na dwie; że może się powtórzyć jeszcze jutro, pojutrze — ale już długo tak powtarzać się nie da. Bierze się Minder znów do roboty, zakłada okulary, ale wkrótce je zdejmuje i wygląda przez okno. Oto Mariem kupiła już orzechy i, jak młoda sarenka, zbiega po wzgórzu podwórzowem, przysiada się do gromadki dziewczątek. Przyglądając im się, Minder zamyśla się głęboko.

W skutku tych rozmyślań zwołał Minder

radę familijną. Zaczęła się od tego, iż zebrani wyleli na Mindra, rzecz można, cały kubek zarzutów: że wziął się nie do swojej rzeczy; że zgóry wszyscy przewidywali, iż nie da sobie rady z wychowaniem dziewczyny, i t. d., i t. d.

Minder słuchał bardzo spokojnie i uprzejmie przytakiwał każdemu z osobna i wszystkim razem. Skorzystawszy zaś z pierwszej pauzy, która świadczyła, iż ciotki, wujowie i stryjowie zmęczeni się gadaniem, odezwał się:

— To, coście powiedzieli dotąd, było bardzo rozsądne. Nigdy nie słyszałem równie rozsądnych, powiem nawet mądrych przemówień. A teraz powiedzcie, ile mi będziecie miesięcznie dawali na potrzeby Mariem. Bo potrzeba ją uczyć i potrzeba jej wielu rzeczy z bielizny i ubrania.

Na to ciotka Majeranek, osoba zgryźliwa, gniewnie się odezwała:

— Kiedy Minder się podjął...

Ale zbiorowe: „Szal” przerwało jej mowę.

Głos zabrał młodszy brat Dawida Mindra, kamasznik Lejzor:

— Skoro Dawid, mój brat starszy, uznał, że to, co od nas posłyszał, było rozsądne, to nie wiem, dlaczego i my nie mamy uznać, że propozycja jego również jest rozsądna i najzupełniej zrozumiała. Majętniejsi w rodzinie powinni pomagać uboższym. Mariem zaś musi się uczyć. Nie mamy co już długo klektać.

...Mariem zaczęła się uczyć. Przestała się nudzić. W ciupy i orzechy do dołka bawiła się tylko w wolnych chwilach, a tych miewała coraz mniej. Bo za jedną zmianą w domu zwykle

idzie nowa zmiana, a za tą znów inna zmiana, i gdy tak pójdą zmiany za zmianami, to wkońcu wszystko, jak mawia ciotka Majeranek, przewraca się do góry nogami. Coś podobnego nastąpiło i w domu Mindra. Obok nauki, poczęła Mariem wprawiać się do czynności gospodarczych, przeciw czemu Minder nie oponował, stwierdziwszy że kartotke obiera Mariem bardziej cienko, a więc i bardziej oszczędnie od niego, zupę gotuje daleko smaczniejszą i wszelką robotą tyko miga jej w rękach.

Powoli, nieznacznie (by nie urazić staruszka) rządy domowe poczęły przechodzić do drobnych jeszcze, a już pracowitych i dzielnych rączek dziewczęcia. Stało się wreszcie, że to nie Minder, lecz Mariem poczęła sypiać pod lekką kołderką, a dziadek musiał leżec pod pierzyną, zrana zaś nie wolno mu było ruszyć się z pod niej, póki Mariem nie nagotuje herbaty i nią nie napoi dziadka. Przy tej czynności głaśkała jego głowę i strząsała okruszyny chleba z jego brody siwej. Ale i Minder chciał sobie przypomniec, jak to dawniej bywało, więc gdy spożył, co mu Mariem podała, przyciągał ją do siebie, kładł jej główkę na swej piersi, a na główce obie ręce i długo jej nie puszczał i długo palcami swemi szczupłemi rozczesywał czarne włosy. I znów mu łzy nachodziły do oczu. Ale wyciskała je nie obawa, jak dawniej, że ktoś kiedyś mu ją zabierze, lecz cicha, głęboka wdzięczność.

— Boże mój, Panie, Panujący nad nami, czemuże ja, z twych sług najnędzniejszy, zastu-



żyłem na tyle twojej dobroci, na tyle radości z rąk Twoich.

Mariem, na wszystko uważna, gdy łązy te spostrzegła, jakby odgadując z jakiego źródła płyną, nie pytała się o ich przyczynę, lecz czem prędzej zbierała je swemi ustami.

V.

Czas niezmordowanie prządł a prządł —
młodość jednych, starość innych, szczęście i niedolę.

...Był mroźny ranek; niebo na wschodzie jakieś płowe, czerwonawe, w górze siwe. Pomimo mrozu, powietrze nie wydawało się przejrzystem, zdawało się raczej, że przesycone było zamarzlą mgłą i że z niej to powstawały większe wszędzie sople lodowe.

Od strony rzeki dochodził jakiś szczególny odgłos, jednostajnie zgrzytliwy i niemiły, coś jak drapanie czemś ostrem po szkle. Był to skrzyp kilkunastu sani, które, wracając od filtru miejskiego, położonego wpobliżu rzeki, wyciągnęły się gęsiego, długim sznurem i posuwały zwolna ku stromo w górę wspinającej się ulicy Wjazdowej. Na każdych saniach było po dwie beczki, pełne wody, chlupoczącej w czworokątnym otworze, przez który ją nalewano i przez który wypryskiwała teraz przy każdym wstrząśnieniu sani na wybojach. Wypryskująca woda oblewała beczkę, i ta zwolna porastała szklistą lodową powłoką. Sanie były grubo zaśnieżone, a konie, ludzie, kroczący przy sa-

niach i przytupywaniem rozgrzewający swe nogi, kozuchy tych ludzi, ich czapki futrzane, brody, wąsy i brwi — wszystko okryte szronem, jakby siwym mchem porosło.

Ten skrzypiący, posiwiały korowód dosięgnął już pierwszych domków Rybałtowskiej ulicy i długiego, walącego się parkanu, za którym bielity się okryte sadzią, jakby z srebra wykute, drzewa ogrodu, zwanego „ogrodem Bosackiego”. Kto był ów Bosacki — mało kto wiedział, a wcale nie było już takich, coby go widzieli na swe oczy. Znikł on przed laty czterdziestu, w czasach, gdy obecny gubernator Papujdogło, naówczas młody i hoży, czarnooki porucznik, tak gorliwe położył zasługi przy rabunku i niszczeniu dworów i dworków polskich i tropieniu powstańców, iż zjednały mu one *medal za usmirenje polskawo miatienja, dla noszenja na grudi* *). Przed laty trzydziestu był jeszcze w tym ogrodzie stary, pochylony, biały dworek z ganeczkiem na pękających słupkach, który rozebrano, gdy począł grozić zawaleniem. Po Bosackim, został jakiś daleki i daleko zamieszkały krewny, który co kilka lat zjeżdżał tu, zaglądał do ogrodu, stwierdzał, iż część drzew została wycięta, część uschła skutkiem obłamywania z nich gałęzi, a reszta oczekuje tego samego losu; kiwał głową, patrząc na walący się parkan; przywoływał stróża sąsiednich domów milkinowskich, Barnabę Łazika, i dawał mu rubla za to,

*) Medal za uśmierzenie polskiego powstania, na pierś.

by nad tym ogrodem miał i nadal dozór równie, jak dotąd, troskliwy. Poczem wyjeżdżał i znów lat parę się nie pokazywał; Barnaba sumiennie przepijał rubla, zaś ogród, mimo zdziwienia i spustoszenia swego, jeszcze prawie piękny, malowniczo po pochyłości wzgórza rozrzucony, zapadał znów w swą samotność, ciszę i smutek. Teraz w swem białem przybraniu ogród Bosackiego wyglądał bardzo pięknie, jak jaki czarodziejski gaj. Tylko nic nie było czarodziejskiego w ordynarnym wrzasku wron, kruków i kawek, zaniepokojonych dziwnym odgłosem, jaki sprawiał korowód sani. Gromady czarnego ptactwa poderwały się z drzew, otrząsając z gałęzi całą chmurę białych pyłów.

Przy pierwszych saniach kroczył młody, rosły Żyd w kożuszkę baranim; głowę wraz z czapką miał owiniętą szalikiem nieokreślonej barwy. Idąc, przytupywał nogami w grubych, pokutych butach, zaśnieżonych, a rękoma, dla rozgrzewki, z taką siłą uderzał po swych bokach, że dziw, iż ich nie poobijał. Przy następnych saniach szedł Żyd stary. Rozłożysta jego broda — siwa, a teraz w dodatku wybielona szronem — wydawała się jedną bryłą śniegu, sztucznie jakoś do podbródka przylepioną. U wąsów zwisały mu na cal długie sopelki lodu. Byli to syn i ojciec. Na przedzie szedł Gdala Noser, za nim — nasz znajomy Fiszel Noser.

Stary był jednym z bogatszych woziwodów. Miał parę koni, dwa wozy, dwoje sani, dwie pary beczek, więc mógł prowadzić swój proceder na siebie i na syna.

Sprykrzywszy sobie deptanie przy swych sankach, Gdala przystanął, poczekał aż ojciec się z nim zrówna, i wszczął rozmowę.

— Kochany ojcze, poco ci te ozdoby u wąsów? Jeśli pozwolisz, uwolnię cię od nich bardzo delikatnie, nawet nie poczujesz, gdy je oberwę.

— Byłoby to, mój kochanku — odparł Fiszel — to samo, jakbyś uczynił zamach na brodę twego ojca. A tegobym ci nie darował i ominęłaby cię połowa domu przy ulicy Rybałtowskiej, którą ci obiecałem w wypadku — powtarzam ci raz jeszcze — jedynie w wypadku, gdy nie będziesz zwlekał z przyprawieniem mi synowej.

— Mam czas. Mam jeszcze dużo czasu. Poczekać, aż ojciec sprzeda dom przy ulicy Rybałtowskiej i kupi parę domów od Milkina.

— Ho, ho — masz skromne życzenia! Czy myślisz, że Milkinowi tak łatwo przyszło zdobyć majątku? Taki majątek wyrasta, kochanku, nie z wody, lecz z wielkiego sprytu.

— Owa! Milkin! Wielka mi mecyja ten Milkin. Tyle sobie z niego robię, co z tej wrony, która tam kracze za parkanem. Ile razy słyszę, jak ta złośliwa małpa wykrzykuje na podwórzu i wymyśla na starego Mindra za niezapłacone komorne (a z czego zapłaci, gdy nie ma roboty?), to wziąłbym tego Milkina za kark, ot tak! — postawiłbym tę śmieszna figurkę ot tu — na mojej ręce, a drugą przychlapnąłbym go tak, że zrobiłby się z niego placek.

Słowom tym towarzyszyły wyraziste gesty, a ponieważ Gdala mimo młodego wieku, miał

potężne bary, a łapy, jak niedźwiedź, i muskuły ze stali, więc było bardzo do prawdy podobne, że z jego rąk placek wyszedłby cienki, jak maca.

Fiszel ciężko stąpał, już zaczynał sapać, bo droga w górę podnosić się zaczęła, i na słowa syna mało zwracał uwagi.

— Powiedz mi, ojcze — odezwał się znów Gdala — czyś widział kiedy tabliczkę, przybitą na frontowych drzwiach u Milkina?

— Nie. Woda potrzebna jest w kuchni, nie w salonie, więc ja nie chodzę tam przez frontowe drzwi. A ty przy jakiej to okazji widziałeś tę tabliczkę?

— Wtedy, kiedyś mnie posłał po te nędzne trzy ruble, które nam płaci za cały staw wody, jaki tam u niego zużywają przez miesiąc. A jeszcze się ociąga z zapłatą!

— Jakto? Przecież chyba nie zrobiłeś Milkinowi takiej przykrości, by po te trzy ruble iść do niego przez frontowe wejście?

— Owszem. Zrobiłem mu tę przykrość.

— I wpuścili cię tamtędy? Proszę cię, Gdala, gadaj mi zawsze prawdę, bo ja blagierów nie lubię.

— Czy puścili mnie? No, nie bardzo. To znaczy, że ta jego ruda służąca z oczami sowy zrobiła szparkę w drzwiach, wyrzała na mnie i powiedziała: Nie tędy! Wtedy ja cośkolwiek, ale bardzo delikatnie pchnąłem drzwi i wszedłem do przedpokoju, ona zaś wrzasnęła: Panie Milkin! Wtedy z gabinetu, tak mi się zdaje, że z gabinetu — wyszła ta śmieszna, pękata figurka, krzyząc: Co to za śmiałość! A ja

powiadam: Dzień dobry, panie Milkin! Ten śmieszny człowiek przyjrzał mi się tak uważnie, jakby mierzył moją wysokość i szerokość moich pleców, jakby mnie całego chciał zważyć oczami, i bardzo grzecznie powiada: To ty, kochanku! A czy ojciec twój zdrow? — Jak ryba — powiadam. Potem wypłacił mi pieniądze, te nędzne trzy ruble za cały staw wody, który przez miesiąc wlewałem mu do kuchni, i powiada tak: Z ciebie wyrósł bardzo wysoki i tęgi chłopak, kochany Gdala, ale gdybyś miał tyle rozumu, ile masz pewnie siły w twoich rękach, tobyś pojmował, że tem frontowem wejściem wchodzi do mnie pan Prokopjew, główny intendent wojskowy, i pan Baranow z akcyzy i pan Kupiszkin, doktor wojskowy, którego głos wiele znaczy, gdy idzie o przyjęcie do służby wojskowej zuchów tobie podobnych, rozumiesz? Dla takich to osób służyć mają te paradne wschody i to paradne wejście. A z twoim ojcem, kochanku, my się znamy od dzieciństwa, więc poco takie ceregiele; proszę cię na przyszłość przychodź do mnie z całym zaufaniem — przez kuchnię. Bardzo cię o to proszę. Ponieważ przemawiał grzecznie, więc powiadam: Bardzo dobrze, panie Milkin, na drugi raz przyjdę przez kuchnię.

— Powiem ci, Gdala, że on bardzo rozsądnie ci powiedział. Z twojej strony to było paskudne grubijaństwo — leżć do niego od frontu. Ale zaciekawileś mnie ową tabliczką. O co ci idzie?

— O to, że tam stoi napisane po rosyjsku: „Osip Iljicz Milkin“.

— Hm! Więc cóż cię tak zastanawia? Tam napisano: Milkin, bo on jest naprawdę Milkin. Tam napisano: Iljicz, bo jego ojciec miał na imię Eljasz, a to po rosyjsku — Ilja. Ale dlaczego napisano: Józef, czy tam Osip — to naprawdę nie wiem. Milkinowi na imię Szloma, od urodzenia Szloma, Ślojme. Był, jak i będzie, Ślojme. Więc dlaczego Osip? Może mu się tak spodobało. Tobie, kochany Gdala, spodobało się wejść do niego przez frontowe wejście, choć tego nam nie należy się czynić. Dlaczego jemu nie miałyby być wolno przyczepić sobie na froncie taką tabliczkę, jaka mu się spodobała?

— Ale mnie to wszystko jedno, czy on jest Szloma, czy Osip. Ja się pytam, dlaczego to napisane jest po rosyjsku, a nie po żydowsku, kiedy on jest Żydem, ani po polsku — kiedy on doskonale umie po polsku?

Droga zdawała się coraz przykrzejszą. Fiszel przystanął, żeby odsapać, a na konia cmoknął, co miało znaczyć, żeby szedł sobie dalej sam, nie oglądając się na pana. Ale koń zrozumiał to zupełnie inaczej, bo stanął. Jednocześnie, jakby na dane hasło, przystanąły wszystkie konie i wszyscy ludzie, co dowodziło zupełnego porozumienia pomiędzy zwierzętami i ludźmi, co do konieczności wypoczęcia w tem miejscu.

Fiszel, odsapnąwszy, tak odpowiedział synowi:

— Dlaczego napis jest rosyjski, to ci wyjaśnił sam Milkin, ale widać, że z jego wyjaśnienia nie odniosłeś żadnej korzyści. Czyż nie powiedział ci, że do niego przychodzi Proko-

pjew z intendenty, i Baranow z akcyzy, i Kupiszkin, wojskowy lekarz? Czemuż ci jeszcze nie opowiedział, że u niego całemi wieczorami przesiaduje sędzia mirowy *) Afanasjew? Przecież go znasz, ten sam, co u Milkina na parterze ma swoją „kamerę“, a na pierwszym piętrze — piękny apartament z pięciu pokojów. Czy ty, Gdala, masz pojęcie, ile Milkin zarobił na dostawie siana i owsa, dzięki Prokopjewowi? Czy wiesz, jakie on sprawy obrabia z Baranowym? Czy wiesz, że gdy on w jakiejś sprawie występuje w sądzie, to zgóry wie, jaki będzie wyrok, bo ten wyrok on sam z wieczora podyktował Afanasjewowi? A ileż to naszych młodych, porządnych ludzi spokojnie trudni się handlem, zamiast gnić gdzieś w zawszonych koszarach, tylko dzięki temu, że Milkin trzyma się za rękę z doktorem Kupiszkinym i obaj wiedzą, jak się brać do rzeczy. Gdybyś to wszystko wiedział i potrafił objąć swym ciasnym rozumem, tobyś się wcale nie pytał, dlaczego tabliczka na jego drzwiach napisana jest po rosyjsku, a nie po polsku, ani po żydowsku. Jego karmią urzędy, a urzędy nie są polskie, ani żydowskie. I wogóle powiem ci, młody człowieku, który za rok będziesz musiał stać do wojska, że powinienbyś o Milkinie odzywać się z większem uszanowaniem!

Gdala milczał. Naraz kopnął końcem buta grudkę zmarzłego błota, którą postrzegł na drodze, i zagwizdał w sposób, mający wyrazić najzupełniejsze lekceważenie dla Milkina.

*) Sędzia pokoju.

— Ja tam nie myślę uwalniać się od wojska — rzekł — może miałbym pozwolić odjąć sobie palec, lub w inny sposób dać się okaleczyć! Bogu dzięki, zrobiłeś mnie, ojcze, na urząd, i nie powstydzisz się za mnie i w armji. Kpię sobie z Milkina.

Korowód sani ruszył dalej.

VI.

A oto już i żółte domy Milkina. Gdala, a za nim Fiszel, skręcili ze swemi saniami do otwartych wrót, wiodących na górzyste podwórze.

W domach Milkina było tylu spożywców wody, że dwu dostawców nie było za dużo; owsem — czasem i trzeci wypróżnił tu całe swe dwie beczki.

Reszta wozowodów pociągnęła ze swemi saniami jeszcze wyżej, ku rynkowi na szczycie wzgórza położonemu, skąd, jak z serca arterje, rozchodziły się ulice i uliczki we wszystkie strony miasta.

Gdala nie odrazu wjechał we wrota, za któremi po śliskich kamieniach poczynął się wjazd bardzo przykry; wstrzymał konia i, przytupując przemarzłemi nogami, spoglądał w okna sutereny obok bramy, skąd dochodził miarowy stuk młota. Nad temi oknami czarną farbą wymalowany był rondel i kociołek z dwoma uszami. Była tam pracownia kotlarska spółwyznawcy Fiszla i jego przyjaciela Nisensona. Do sutereny wiodła ciemna sionka;

z niej to wybiegło po chwili dwu wyrostków, uczni kotlarza, bardzo zadowolonych, iż mogą się na chwilę wyrwać na wolność, a to wskutek umowy pomiędzy Fiszlem i Nisensonem, iż dwu tych młodzieńców, Jojne i Ioel, będą dopomagali woziwodzie w karkołomnej podróży po podwórze Milkina. Pomoc ta zresztą nie była ani zbyt skomplikowana, ani zbyt trudna, i polegała jedynie na tem, iż podczas gdy Fiszel prowadził konia, chłopcy wydawali przeraźliwe okrzyki: Hip! Hop! Wio! A nu-u!, które miały zachęcić szkapę do przykrych wysiłków. Udawali przytem, że popychają z tyłu sanie, w istocie zaś popychali tylko jeden drugiego, skutkiem czego coraz to któryś z nich przechodził do pozycji leżącej i w tej pozycji zesuwał się wdół ze wzgórza, poczem z nadzwyczajną szybkością porywał się z ziemi i znów przybiegał do sani, nie przestając ani na chwilę dziko krzyżeć: Hip! Hop! A nu-u! Ta wrzaskliwa kawalkada, a zwłaszcza popisy gimnastyczne wyrostków przyciągały powszechną uwagę. We wszystkich sionkach, na wszystkich skrzypiących ęankach i schodkach pojawiało się mnóstwo ciekawych widzów. Do Jojny i Ioela przyłączało się niebawem już z czystego amatorsstwa jeszcze kilku małych żydków, oraz trzech małych potomków Barnaby Łazika, a tumult stąd powstawał nieopisany. W całym domu z pewnością nie było nikogo, ktoby wtedy mógł jeszcze wątpić, iż nadeszła chwila zaopatrywania mieszkańców w wodę.

A była wyczekiwana niecierpliwie i ta niecierpliwosc z chwilą pojawienia się wody nie-

tylko nie łagodniała, lecz przeciwnie, zaostrzała się. Każdy chciałby już mieć ją natychmiast, tymczasem dostawcy wody postępowali metodycznie: zaczęli od pierwszej, najbliższej sieni i, po zaspokojeniu, kogo należało, przechodzili do drugiej. A z dalszych raz po raz wybiegały gosposie, dręczone obawą, iż spóźnią się z obiadem. Rozlegały się podrażnione głosy:

— Fiszel, Gdala — a kiedyż tam?

Do liczby zniecierpliwionych należał oczywiście i Minder, dnia tego szczególnie podrażniony, gdyż stłukły mu się okulary, a miał pilną robotę. Nie mogąc bez szkielec nic zdziałać w zakresie swego fachu, zasadził do szycia Mariem, sam zaś miał wyręczyć ją w czynnościach gospodarczych. Ale, jak w krawiectwie bez okularów, tak w gospodarstwie bez wody daleko się nie zajędzie.

Ledwie więc na podwórzu dał się słyszeć pożądany tumult, zwiastujący przybycie wody, Minder natychmiast wybiegł na ganek i począł przesyłać Fiszlowi znaczące sygnały. Zrazu miały one cechę przyjacielską i mogło się wydawać, że stary krawiec ręką posyła woźniowiec całusy, ale wkrótce stało się widocznem, że jest to raczej wygrażanie pięścią. Na Fiszlu ani całusy, ani pogrożki pięścią żadnego nie mogły uczynić wrażenia, ponieważ zajęty noszeniem wody, nie patrzył w tę stronę.

Minder zatargał brodą i, mrużąc gniewnie, wpadł do izby i pochwycił blaszany kubetek. Mariem zerwała się.

— Co dziadzio chce robić?

— Biegnę po wodę. Nie wytrzymam dłużej z temi...

— Dziadziu! Nie można, dziadziu się zaziębi, przewróci. Ja pójdę.

— Ani mi się waź! Cóż ty sobie myślisz, że ja ci pozwolę traktować mnie, jak dziecko? Proszę mi się nie odrywać od szycia.

Widząc dziadka tak poirytowanego, Mariem aby więcej go nie rozdrażnić, ulegle powróciła do swej roboty, Minder zaś tak, jak był odziany, w letnim, skutkiem dziur bardzo przewiewnym chałacie i mocno przydeptanych pantoflach, już zbiegał rączo ze schodków.

Trzeba wiedzieć, iż na górzystym podwórzu dzieci oddawały się sportowi saneczkowemu. Każdy malec powyżej sześciu lat posiadał swoje saneczki. Tor do karkołomnej jazdy, należycie już wyslizgany, zaczynał się u najwyższego punktu podwórza, pod gankiem mieszkania Mindra, a kończył się — trudnoby orzec gdzie, bo, choć meta naturalną powinnyaby być brama wjazdowa na dole, lecz dzielni sportowcy, rozpędziwszy się, przesadzali jej próg, wypadali z saneczkami na ulicę i po jej pochyłości mknęli niemal do samej rzeki.

Dotknąwszy nogą ostatniego stopnia schodków, który był nietylko krzywy, lecz i bardzo śliski, Minder osunął się jakoś z niego i naraz znalazł się w pozycji siedzącej. Chciał powstać i pochwycić kubetek, który z ręki mu się wymknął, lecz te ruchy miały tylko taki skutek, że zesunął się jeszcze niżej, a dostawszy się na wyslizgany tor saneczkowy, począł bez saneczek, na swem własnem siedzeniu, z zawrot-

ną szybkością podążać wdół. Wyprzedził go kulek, który w podskokach jeszcze szybciej pędził.

Fizel właśnie w owej chwili wychodził z sieni z dwoma próżnymi wiadrami. Ujrawszy swego przyjaciela, z tak niezwykłym pośpiechem ku niemu zdążającego, otworzył usta ze zdumienia.

Minder w tej podróży zachowywał również wyraz niezmiernego zadziwienia. Z rozpędu wyleciałby z pewnością na ulicę, ale gdy już był wpobliżu sani Fizela, Jojne i Ioel zabiegli mu drogę i przytrzymali go.

Dawid Minder rzeźko porwał się na nogi i, stając tyłem do Fizela, odchylił poły swego przewiewnego kitla i zapytał:

— Powiedz-no, Fizel, co mi się tam zrobiło?

Fizel przymrużył jedno oko.

— Zakryj to, Dawidzie, i nie pokazuj, bo tam widać zupełnie... gołe ciało twoje — rzekł.

— Domyślałem się tego — odparł Minder z westchnieniem — moje stare spodnie nie wytrzymały takiej warjackiej jazdy.

— Nie martw się, Dawidzie, wszak jesteś krawcem. Lepiej mi powiedz, jak się czujesz?

Minder troskliwie obmacał się na wszystkie strony.

— Zdaje mi się, że doskonale. Nie mam czego narzekać, bo przynajmniej raz w życiu użyłem przyjemności, której ci smarkacze używają całymi dniami.

— Paneś pysznie się trzymał — wtrącił Jojne, który należał do najdoświadczeńszych

sportowców. To całe szczęście, panie Minder, żeś pan tak szeroko rozstawił nogi. Inaczej, zamiast jechać, zacząłbyś się pan turlać i bardzo byś poobijał boki.

— Tak, tak. Boki mam całe, ale spodnie...

— Dawidzie — upominał go Fiszel — taki człowiek mądry, jak ty, nie powinien narzekać. Przedewszystkiem powinienesz dziękować Bogu, że wyszedłeś z tej przygody zdrowo. Obyś żył sto lat.

— Dziękuję ci, Fiszel. Dlaczego nie miałbym żyć sto lat? Ja tak mało kosztuję Pana Boga i ludzi, że nikt nie zbankrutuje, gdy będę żył choćby dwieście lat.

Teraz nadszedł i Gdala. Fiszel odezwał się do niego:

— Mój przyjaciel Minder miał przykrą przygodę potrochu z mojej winy, bo powinienem był posłać mu wiadro wody przez Ioela lub Jojne i nie czekać aż sam się wybierze po nią, co mu się bardzo źle powiodło. Wyręcz mnie teraz i zanieś za Minderem jego kubetek z wodą.

— Bardzo chętnie. Cóż to się stało, Minder? Przewróciłeś się? To rzecz codzienna na tem djabelskim podwórze.

Poszedł szparko w górę, a Minder podreptywał za nim. Lecz gdy byli już blisko jego mieszkania, stary krawiec odzyskał naraz w swych chudych nogach ręczość gazelli i pomknął naprzód, aby corychlej opowiedzieć Mariem swą zabawną przygodę. Dopieroż to Mariem się uśmieje! Ale Mariem wcale się nie śmiała. Zarzuciła ręce na jego szyję, głąskała

starą głowę, bez liku razy wycalowała jego policzki, pytając z troską:

— Czyś aby naprawdę nic sobie nie zrobił?

— Upewniam cię, że nic. To było bardzo przyjemne. Tylko ze spodniami będę miał trochę roboty.

Oboje nie postrzegli, że Gdala już od kilku chwil stoi u progu z ustami tak rozdziawionymi, jak rozdziawił je Fiszel, gdy zobaczył Mindera, zjeżdżającego z wysokości. Ale tu przyczyna była innej natury.

Gdala znał Mariem, widywał ją i spotykał, lecz wcale nie zwracał na nią uwagi. Ostatnimi czasy jakoś coprawda nawet nie spotykał. Na wiosnę, gdy do ogrodu Bosackiego zbiegają się dziewczęta i chłopaki na rabunek bzu, widział ją i nawet ułamał dla niej parę gałązek, ale i wtedy nic w niej nie dostrzegł szczególnego. Cóż to się z nią zrobiło? To pytanie było hołdem, oddanym jej piękności, i gotówby już był Gdala powiedzieć, jak o córce Hjobowej powiedziano, że nie mogło być w kraju urodziwszej.

— Coś się tak na nas zagapił? — zniecka zagadnęła go Mariem, przestając pieścić dziadka — czy może nie znasz Dawida Mindra?

— Znam. Znam i jego wnuczkę. Ale jakoś nie mogłem cię poznać. Bardzoś wyładniała!

— Wyładniała? A kiedyż to byłam tak bardzo brzydka, panie Gdala?

— Nie mówię, że byłaś brzydka. Wydaje mi się, że widzę cię pierwszy raz.

— A ja żałuję, że nie mogę ci powiedzieć takiego samego komplementu, jaki usłyszałam

od ciebie. W tym szaliku na głowie wyglądasz doprawdy, jak straszdyło.

— Ho, ho! Spróbuj-no ty przespacerować się parę razy do rzeki i zpowrotem.

Minder rozpałił już ogień pod kuchnią, już nastawił imbryk z wodą, już i woda w nim zaczynała syczeć, a Gdala i Mariem jeszcze coś gadali i jeszcze gadali.

Tymczasem na podwórzu powstał rejwach.

— Gdzie się podział Gdala? Co to jest? Kiedyż będzie ta woda?

Ha, trudno! Woda wodą. Woda jest dla wszystkich — to prawda. Ale dwa młode serca są tylko dla siebie.

VII.

Na Mindra znów poczęły nachodzić zadumy, z czego można było niechybnie wnioskować, że znów zwoła radę familijną. Jakoż — zwołał ją.

Przebieg narad był bardzo spokojny. Minder począł mówić pierwszy, a nikt mu nie przerywał. Zdał sprawę z podjętej przez siebie opieki nad Mariem. Wbrew przewidywaniom ciotki Majeranek, a może i innych godnych osób, Pan Najwyższy wspomagał Mindra w tem trudnem, naprawdę trudnem zadaniu. Mariem wyrosła na zdrową, cnotliwą i piękną dziewczynę. Wielu rzeczy się nauczyła. Warta jest dobrego męża, przeto trzeba pomyśleć o posagu dla niej, ale to już nie należy do niego, Dawida Mindra (bo Bóg jest dlań bardzo szczo-

drobliwym w wielu rzeczach, ale co do majątku, to zamknął przed nim szkatułę swą), a raczej do tych, którzy w tem godnem zgromadzeniu osób mądrych i łaską Boską cieszących się po nim głos zabiorą, o co Minder uprzejmie ich prosi.

Głos po nim zabrał młodszy jego brat Lejzor kamasznik.

— To, co nam powiedział mój starszy brat, Dawid, godne jest naprawdę uwagi wszystkich tu obecnych. Tak, wnuczka Dawida Mindra musi mieć posag. Co tu dużo klektać. Deklaruję pięćset rubli. Bogu dzięki, moje interesy są w kwitnym stanie.

Gdy każdy w tej sprawie wypowiedział, co miał do powiedzenia, okazało się, że Mariem będzie posażną panną i może wybrać sobie męża, jaki jej się spodoba.

Ostatni przemówił wuj Majeranek w te słowa:

— A jeśli młody Noser, jak o tem napomknął nam Dawid, istotnie żywi jakie zamiary, to ja biorę na siebie starego. Musi przepisać na syna połowę domu na Rybałtowskiej ulicy i dać mu konia, wóz, sanie i dwie beczki. W tem już moja głowa!

...Co do mnie, jeśli wszystko weźmie tak pomyślny obrót, jak tam uradzono, to powiem z całą zyczliwością: „Szczęść Boże!”.

CZYJAŻ ONA BYŁA?

Mieszkaliśmy któregoś lata na wsi, u chłopa. Dobry to był człowiek — i o kobiecie jego, zachowaj Boże, abym miał powiedzieć co złego. Dzieci też były dobre.

Tylko co do Wiktorka spieraliśmy się z moją żoną — twierdziła, że to złe dziecko. Pewnego razu wypłoszył z kałuży żabę i uził ją kijem. Innym razem z gniazda wroniego wybrał parę nagich jeszcze piskląt i przyniósł do domu. Jaki miał w tem cel, o co mu szło — lichoz go tam wie. Podobno oświadczył, że chce się przekonać, „co z tego wyjdzie“. Z czego? — I coby miało wyjść? — nie wiem. Wydobył z pod łóżka klatkę — jak mówił, ale to była tylko mała skrzynka z deseczek i łyka zrobiona; wsadził tam pisklęta, nasypał jakiegoś ziarna i zawiesił „klatkę“ na chojaku — jest tam u nich taki biedny, stary świerk poobłamywany, rośnie za stołką. Zrana pisklęta już nie żyły.

— I po jakiego djabła tyś je umordował i to w klatce? — zadziwił się stary Madziak — nie byłoż to odrazu gdzie cisnąć, albo pożywić Mrausa?

— Ale — boby Mraus żarł to?

Otwarcie mówiąc — miał głupią minę. Przekładał z ręki do ręki nagie, sine, wstrętne brzydkie trupy piskląt i widocznie sam sobie zadawał teraz pytanie — poco to wszystko było robić?

Jeszcze innym razem przyniósł już nie pisklę, lecz dobrze podrosłą, młodą wronę. Okazało się, że ptak ma przetrącone nogi. Moja kobieta wręcz go oskarżyła.

— To twoja sprawa?

— O! już pani wie, że moja? A nie moja. Nalazłem w polu przetrąconą.

Wrona została mu odebrana. Nawiasowo powiem, że dostała się do nas na kurację, która o tyle się powiodła, iż po kilku dniach ptak mógł podlatywać, a jeszcze po kilku — przelecieć ot tak na jakie dwa sążnie. I jakoś z okna sfrunął przed dom, gdzie w oka mgnieniu zwała się nań gromada kur z kogutem na czele i nim żona moja wybiegła na pomoc, wrona była już śmiertelnie poraniona. Na rękę żony ułożyła się bokiem, mając dziób otwarty i z wysiłkiem chwytając powietrze. Zastanowiły mnie wtedy oczy ptaka — młode, czyste, niebieskawe, z wyrazem jakiegoś tępego, bolesnego zdziwienia. Naraz uniosła głowę, szyja jej się wyprężyła, pióra na niej najeżyły — wstrząsnęła się i straciła z przed oczu dziwne i okrutne zagadki bytu.

Otóż żona moja miała złą opinię o Wiktor-ku. Obawiam się, że sąd ów był zabarwiony uczuciem. Bardzo silnie ta kobieta odczuwała niedolę i cierpienia zwierząt, każda krzywda im wyrządzona była i dla niej jakby sól wtarta

w ranę żywą. Gdy więc parę przytoczonych faktów roznieciło w niej uczuciową pretensję do chłopaka, widać trudno już potem było zdobyć się na spokojną, przedmiotową ocenę jego charakteru. W istocie zaś fakty te absolutnie niczego nie dowiodły. Jeśli to on nawet przetrącił wronie nogi... Wron nie lubią i kury i ludzie. Wrona Madziakom zamordowała kiedyś kurczę. Wszystkie chłopaki tłuką wrony, gdzie im się tylko nadarzy. Możnaby coś powiedzieć o warunkach i wpływach otoczenia, urabiającego umysł i serce Wiktorka, ale źle wyrokować o tym sercu — nie sądzę, aby już był powód.

Antypatja — jak to zawsze bywa — stała się wzajemną. W obecności mojej żony Wiktorek miał zawsze opuszczoną głowę, przygryzał usta, patrzył z podełba z wyrazem chmurnej niechęci. Zawzięli się na siebie.

Pewnego ranka siedzę przy oknie, patrzę — idzie od lasu Wiktorek z młodszym Józwą. Przechodząc, spojrzeli w okno podejrzliwie, ale mnie nie widzieli, bo zasłaniała firanka.

I słyszę jak Wiktorek mówi:

— Byle ta nie zobaczyła.

Tknęło mnie coś, że „ta” — to moja żona. Ale ona także wyglądała z drugiego okna i już dostrzegła to, co i ja — że Wiktorek ukrywa coś w swojej długiej kapocie, którą matka mu dawała, gdy miał iść na noc pilnować szkapy na pastwisku.

— A no, — pomyślałem — powtórzy się historia z wroną, żabą czy piskletami.

Jakoż żona natychmiast wybiegła na dwór — widać dowiedzieć się, co oni tam mają, ale

chłopcy już się gdzieś ukryli. Cały dzień trawił ją niepokój, chodziła markotna i udręczona, zaglądała w różne kąty, nie mogła sobie znaleźć miejsca. A wieczorem przychodzi i powiada mi:

— Już wiem!

— A co?

— Wiem, co oni mają. Wiewiórkę — maleństwo jeszcze bardzo młode.

Posiedziała przy mnie chwilę, milcząc, sfrasowana, ale coś ją podnosiło i znów gdzieś wybiegła.

Gospodarze nasi wcześniej się kładli, my zaś długo zwykle wysiadaliśmy na ganku. A tej nocy jeszcze i księżyc świecił, wcale się nie chciało do izby wracać. Wielki a cichy urok miała noc. Głęboko już wszystko dokoła było uspio-
ne, gdy żona nadeszła, wzięła mnie za rękę i kazała iść za sobą. Okrążyła domostwo i stodołę i zatrzymała się o kilka kroków od starego świerku.

— Widzisz?

Nie wiedziałem, o co jej idzie i całą duszą utonąłem w widoku, jaki stąd się rozpościera. Ciche pola pławiły się w cudnym świetle, majaczył w dali w zarysach widmowych las, za-
rosła, białe ściany domów, białe grzbiety wzgórz piaszczystych — wszystko utulone i spokojne. Płynęło nad światem jakieś nieporównanie
słodkie, wypogodzone, dobre marzenie.

Naraz żona wskazała mi na świerk.

Aha, widzę — wysoko, niemal że u wierzchoł-
ka, wisi znów owa ohydna klatka.

— Tam jest wiewiórka — szepnęła żona.

I jakoś ostro na miejscu zawróciła i ku do-

mowi poszła. Pojąłem, że bardzo ją trapi niewola zwierzątka. Przezorny Wiktorek chytrze się urządził — tylko zwinny, jak on, malec, mógłby mu stamtąd zabrać jego klatkę.

W godzinę potem zasnąłem i widać twardo, skorom się nie obudził, gdy żona zapalała światło, ubierała się, wychodziła. I nawet, gdy stanąwszy nade mną, dotknęła mego ramienia, ocknąć się odrazu nie mogłem.

— Zobacz, zobacz.

Wpadły mi wprawdzie do uszu te słowa, ale wydawało mi się, że to dalszy ciąg jakiegoś snu. Znów świerk przede mną, klatka wisi bardzo wysoko, poczynam wdrapywać się na drzewo...

— Zobacz, mój drogi, nic podobnego jeszcze nie widziałeś.

To już była jawa.

— Cóż to się stało?

— Zobacz, zobacz tylko...

Szczęściem, że to coś nadzwyczajnego znajdowało się blisko. Tuż za moim łóżkiem, w kąciku, miała swe posłanie suczka Mucha, która przed paru dniami się oszczeniła (zostawiliśmy jej tylko jedno małe). Wychyłam się z łóżka — patrzę. Żona przyświecała lampką. Na posłaniu, obok małego jak szczurek czarnego szczenięcia Muchy tuli się do niej rude stworzonko z rozłożystym ogonkiem, założonym na grzbiet.

— Wyobraź sobie — mówi żona — wcale się Mucha na nią nie gniewa, owszem — zdaje się nawet, że jej rada.

Mucha podniosła łeppek, popatrzyła na nas przyjaznym, prawie serdecznym, dobrym okiem — potem zamaszycie i ze smakiem obli-

zała swe szczenię — potem powąchała wiewiórkę i liznąwszy jej rudą głowinę, ułożyła się spokojnie, poruszając końcem ogona, co miało oznaczać:

— Wszystko jest dobrze. Idźcie spać.

Rada była uczciwa. Spać mi się chciało na potęgę.

Zrana stało się wiadomem, że klatka na chojaku jest próżna a wiewiórka znajduje się u nas. Zona nie robiła z tego tajemnicy, tylko nie zwierzała się nikomu, w jaki sposób udało jej się uwolnić rude zwierzątko. Madziakom dziwnem się wydało, by suczka miała przygarnąć wiewiórkę. Przyszli, popatrzyli — wiewiórce, co prawda, przykrzyło się siedzieć w jednym miejscu — coraz to wyścibi łeppek, wysunie się trochę, ale coprędzej zawraca i zpowrotem wtula się w czarne kudły Muchy. Napatrzyli się, nakiwali głowami, trochę naśmieli — i poszli Madziakowie do swych spraw pilniejszych i ważniejszych. Ale ktoś jeden był zmartwiony. Uważam — raz przeszedł koło okna Wiktorek, drugi raz — spogląda, a z oczów mu patrzy nie niechęć, ani zawziętość, tylko dziecinne, bliskie płaczu rozżalenie.

Przykro mi się zrobiło. Wychodzę. Pytam:

— Czegóżes ty taki zmartwiony, Wiktorku?

Dużo widać żalu zebrało mu się na sercu, bo wybuchnął jakimś zmienionym głosem, w którym już łzy grały:

— A bo pani zabrała wiewiórkę, jak swoją!

Pytam:

— Czyjaż ona była?

— A moja.

Powiedział to już pewnym głosem i nawet twardo jakoś.

— Dlaczegożby ona miała być twoją?

— A bo ja lałem za nią na drzewo — powiada — i złapałem ją, a ona ugryzła mnie w palec.

Byłem bardzo zdziwiony, nie tem, że ona go ugryzła w palec, lecz, że te trzy okoliczności — lał na drzewo, złapał ją, ugryzła go — stanowią dlań i widocznie w dobrej wierze — dowód niezbity, że wiewiórka jest „jego”.

— Ugryzła cię, powiadasz?

— Tak.

Pokazał palec. Prawda. Jest znak bardzo charakterystyczny.

— Teraz pan wierzy, że wiewiórka moja?

Wiktorek spojrział na mnie triumfująco, a ja opuściłem oczy nie tyle przed nim, co przed dziwną zagadką, którą czasby już było, abym odgadł, lecz wciąż — nie umiem. Nigdy jej pojąć nie mogłem.

— I cóż teraz będzie? — bąknąłem, trąc czoło.

— A — pani powinna mi co dać!

— Ileż pani ci powinna dać?

— W przeszłym roku letniki kupiły od Janka Domradzkiego wiewiórkę za dwadzieścia groszy. — Nie! — kłamię! — dali mu cały złoty.

Wyjąłem złotówkę i podałem mu. Zacisnął monetę w pięści, wykręcił się i poleciał na drogę.

Sprawa była rozstrzygnięta — dla niego. Zazdrościłem mu, bo dla mnie została zupełnie ciemną zagadką.

Nadeszła żona.

— No, jakżeś tam załagodził Wiktorka?

— Dostał złotówkę.

— A to dobrze! — zawołała radośnie — to wiewiórka moja!

Znowu! Spojrzałem na żonę ze zdziwieniem i smutkiem.

— Pewna jesteś, że twoja?

— Naturalnie. Coprawda, jabym jej i tak nie oddała, ale skoroś zapłacił, to już naprawdę moja.

Wiem, że już starzeję się. Tych kwestji życiowych, których dotychczas nie rozwikłałem, pewnie już nie rozwiklam. Są rzeczy, których nie rozumiem, mimo, że starano się mi je wytłumaczyć — które zawsze mnie dziwiły, i zapewne wtedy dziwić mnie nie będą, gdy już na zawsze znikną mi z przed oczu...

Weszliśmy do domu — a tam znów czekało na nas coś szczególnego. Mucha zeszła ze swego posłania i waruje przy szafie, wtyka pod nią mordkę, piszczy. Cóż u licha! — przecież jej szczenię tam nie znalazło, bo wcale jeszcze nie łązi. Ba, ale wiewiórka już nie chciała dłużej siedzieć na miejscu, wymknęła się — i to ona ukryta jest pod szafą, a Mucha zmartwiona jej niesfornością nie wie, jak ją stamtąd wydobyć.

Wydobyłem ją wiewiórkę i chwilę potrzymałem ją w ręku. Mucha wspięła mi się do kolan, obwąchała rudą, oblizwała się swoim różowym języczkiem i patrzyła na mnie takim samym roziskrzonym, niespokojnym i proszącym zarazem wzrokiem, jakim patrzy, gdy wziąć w rękę jej szczenię.

— Cóż to, Mucho, przecież to, nie twoje?

Ale ona trąca mnie mordką i zaczyna poszczekiwać w sposób, który doskonale rozumiem.

— To stworzenie jest moje, właśnie moje — chce ona powiedzieć — oddaj mi je, połóż na posłaniu.

Dziwne rzeczy! Czemżeby też Mucha uzasadniła, że to „jej”? Powiedziałyby pewnie, że zabrano jej troje szczeniąt; że to jedno, co zostało, nie nasycy rozbudzonego w niej uczucia macierzyńskiego i że ona część tego uczucia przelała już na małe stworzonko, które całą noc tuliło się do niej. I dlatego powiada — „moja”!

...A ostatni, co powiedział „moja” — był Mraus. Tak, smutnie się skończyło... W drobnym jej ciałku, w jej szyjce, zagłębiwszy pazury, stary, zdziczały, okrutny kot ostatni powiedział o niej „moja”!

Nic nie rozumiem — powiedzcież mi, czyja naprawdę była wiewiórka?

L I P A.

Miałem ja stróżkę ongi, co domostwa pilnowała wiernie. Przed oknami stała cicha zawsze, niedbała na deszczowe fale, śnieżne zamiecie i gniewy wichury. Gdy przywdziała strój odświętny, wtedy była ogromna i cień jej starczył za chłodne pokrycie dla małego domku, każdy zaś starą jej urodę chwalił, mówiąc: rzadko tak piękną lipę znaleźć. Kiedy byłem mały, ona dla mnie wielkim była światem — ludnym, szczebiotliwym, kwitnącym i wonnym na lato, posepnym w zimie. W młodzieńczych latach moich lipa ta stara nieraz mi z oczu płoszyła sen ranny, trącając lekko gałązką o szybę; to było jej wołanie, abym z izby dusznej szedł na świat popatrzeć. I widziałem wtedy, że mi z dumą pokazuje swój szczyt w złocie gorejący, a niby mówi: ja się zawsze niebiosom przyglądam — gwiazdom — słońcu, więc i ty nie śpij. I zazdrościłem lipie owego jej ogromu i złotych odblasków słońca i tego, że rychlej ode mnie jutrzeńkę ogląda.

Razu jednego o wczesnej godzinie cisnęła ona garścią suchych liści w szybę. Szmer to był

lekki, lecz sen nad głową znękaną tylko końcem skrzydła ciążył, więc posłyszałem jej stukanie i ujrzałem, jak za oknem stała w białym zawoju mgły, niby w czepcu, z pod którego pasma wyblakłego listowia spływały. Mowa jej była smutna. „Oto jesień. Wiatr rabuje liście, niebawem śnieg je pogrzebie, a ciebie straszyć będą moje nagie, czarne piszczele. Nie rychło wrócą piękne jutrzeńki”. A i lipa już usycha od szczytu — myślałem, spoglądając na jej konary. Rozstaliśmy się dnia tego na zawsze.

Komuż ona teraz zwiastuje wiosny i jesienie? Nieraz, gdy w noc bezsenną czekam rozświtu z upragnieniem, oczy moje szukają w mroku za oknem ciemnej drzewa sylwetki. Niema jej tam, więc samotność wydaje mi się większą.

W N O C Y.

Szpital nauczył mnie — i sędzę, że każdego nauczyć potrafi — nie lękać się śmierci. Dla pozbycia się tej obawy warto skazać się na spożywanie kleiku szpitalnego w ciągu paru tygodni. Skutek powinien być niezawodny, z wyjątkiem bowiem pola bitwy, śmierć nigdzie nie jest tak czynną, jak w szpitalu, nigdzie więc znaleźć nie można tyle, co tu, sposobności do oswojenia się z nią.

Jak umierają ludzie, którzy spotykają się z kulą, odłamkiem granatu lub ostrzem bagnetu — nie wiem; w szpitalu zaś wiem, iż umierają z prostotą i skromnością. Zdaje mi się, że dwa te wyrazy najlepiej malują rzecz, ale dodam jeszcze, że jest w tej śmierci cichość jakaś i posłuszeństwo. Ludzie umierając, zdają się słuchać czyjejs komendy i — co dziwne — spełniają ją skwapliwie, podobni do uczniów, których z dusznej izby wypędza pożądany odgłos dzwonka. Tylko, że tu nikt tornistrów swych nie ładuje, przeciwnie, zostawia się wszystko, nie wyłączając — cielesnej powłoki. Dziwne zapomnienie! — świadczące o niezwykłym pośpie-

chu i wielkiej uciecze, iż... skończyła się trudna lekcja.

Szpitalnicy umierają z uległością potulnych dzieci lub z zadowoleniem ciężko spracowanych bydła, którym uśmiecha się wypoczynek bodaj na zgniłej słomie. Umierają, nie starając się nikogo zainteresować swoją osobą, przeciwnie, ujawniają w owej chwili jakąś wstydlivość; zdawałoby się, iż każdy pragnie odejść tak, żeby nikt tego nie widział.

Karność, panująca w szpitalu, rozciąga się i na umierających. Mówię bez ironji, gdyż uważam to za dobre. Do szpitala nie przychodzi się na bałamuctwa: masz umrzeć lub wyjść zdrowym; w żadnym razie nie należy barłozyc się bez potrzeby, marnotrawić czasu i zajmować miejsca należnego innemu, bo w każdej chwili jest mnóstwo ludzi, którym pilno umrzeć i takich, którym pilno wyzdrowieć. Gdyby społeczność szpitalna roztkliwiała się z okazji każdego nieboszczyka, to w domu jej powstałaby demoralizująca atmosfera, chorzy traciliby hart, umieraliby z samej bojaźni śmierci. Tak zaś, jak jest, jeśli nie zawsze zdobywają się na jej pogardę, to przynajmniej zyskują tępą obojętność. Gdy tracisz pierwszego sąsiada — ogarnia cię lęk, za drugim, trzecim — powiadasz sobie: mniejsza o to — i myślisz już tylko o tem, żeby samemu się nie skompromitować. Pragniesz wysunąć się niepostrzeżonym.

Pomimo wczesnej godziny wieczoru zimowego szpital pogrążony jest w uśpieniu, przynajmniej pozornie. Za jego murami miasto wre ruchem i gwarem, w obrębie ich — życie przyczaiło się już z nastąpieniem mroku.

Zakonnice odmawiają teraz wieczorne modlitwy. Posługacze śpią. Na podłodze, pośrodku sali, każdy z nich rozciągnął swe poślanie i zaledwie dotknąwszy głową poduszki, usnął snem zdrowego a zmęczonego człowieka.

Światła przyciemnione. Chorzy nie prowadzą już rozmów, każdy usiłuje zasnąć, a gdy mu się to nie udaje — milczy, skupia się w samym sobie, rozmyśla i otwartem okiem błądzi po zakątkach sali, którą głęboki pomrok zalega. W pomroku tym daje się jednak słyszeć cichy i nieustanny gwar, wyjawiający obecność wielu ludzi i nieucichający przez noc całą. To ktoś jęknie lub zakaszle, to ocknie się z przykrego snu i wypowie kilka oderwanych, niezrozumiałych słów... Co mówił, do kogo? Nikt nie pyta i nikt mu nie odpowiada. To ktoś zacznie przywoływać posługacza i powtarza długo swe wołanie przyciszonym głosem, aby nie budzić śpiących. To czyjeś kaszlnięcie stanie się zaraźliwym i wszyscy zaczynają kaszlać, wydobywając najrozmaitsze, czasem przykre i dzikie dźwięki. To jedna z tablic blaszanych, nad łóżkiem zawieszonych, poruszy się i wyda chrzęst suchy...

Echa tych dźwięków nie przedostają się do korytarzy, które są lepiej oświetlone, puste i milczące.

Po obu stronach ich ciągną się szeregi nisz;

z nich jedne zawierają drzwi lub okna, wiele zaś jest pustych. Martwy spokój tu panuje, niekiedy tylko przewiew powietrza zakołysze płomieniem lampy (— z czasów jeszcze lamp naftowych. Boże! jakież to już wieki temu!) a ten poruszy cienie i gdy jedne z nich wpełzają wówczas do pustych nisz — inne poczynają się ślizgać po białych arkadach sufitu. Rzadko kiedy po miękkim chodniku przemknie posługacz z kubkiem w ręku, dążąc po wodę do kranu, umieszczonego w bocznym korytarzyku, a gdy odgłos jego kroków ucichnie i postać zniknie za złomem ściany, znów pustka dziwna, niepokojąca obejmuje te długie, niekończące się, po wiele razy załamujące się korytarze.

W końcu jednego z nich znajdują się drzwi białe, nad nimi nr. 5 i tabliczka z napisem: „wewnętrzne — odosobnieni”.

W sali tej, wąskiej a długiej, dwa kinkiety o mocno przyćmionych płomieniach prawie wcale nie rozwidniają ciemności. Są to niby czerwone ogniki zatopione w mroku. Długo z nim oswajać się trzeba, nim spostrzeżesz, iż w szeregu łóżek dwa tylko — obok siebie w jednym narożniku stojące — są zajęte.

Na jednym z nich spoczywa mężczyzna, na drugim — chłopiec-dziecko. Trzecią żyjącą istotą w tej mrocznej przestrzeni jest posługacz, śpiący w kąciaku na materacu, rozesłanym za łóżkiem chłopca.

Ciszę mącą tylko oddechy, oddech mężczyzny jest wolny i niegłośny, dziecka — szybki, świszczący, posługacza — miarowy i chrapliwy.

Trzy te istoty pozornie tylko spoczywają

blisko siebie, w istocie znajdują się one bezgranicznie daleko jedna od drugiej. Nie widzą się wzajemnie, nie słyszą, nic o sobie nie wiedzą.

Skąd przybywa i dokąd dąży ten mężczyzna? On sam nie umie na to odpowiedzieć. Gdy spojrzy za siebie, widzi tylko przestrzeń szarą i mętną taką, jaką step ukazuje zmierzchem lub w czasie poczynającego się brzasku zimowego; nic tam rozpoznać nie można, ani nieba, ani ziemi, przedmiotów żadnych, najmniejszego śladu drogi. Gdy zaś śladów tych zaczyna szukać uporczywie, powtarzając sobie, że przecież zaginać nie mogły, to spostrzeża wysuwające się z tej bezbrzeżnej szarzyzny ciemne i chłodne w dotknięciu macki jakichś nad wyraz potwornych istot — odwraca się wówczas z odrazą i niechęcią i spogląda przed siebie; ale tu napatyka ustawicznie jedną i tę samą twardą, czarną ścianę. Jest on nietylko zupełnie samotnym, ale nadto zatracił przeświadczenie, żeby gdziekolwiek istniały podobne doń istoty. Jest on jakąś zgasłą gwiazdą, rzuconą w tak odległą część wszechświata, iż stamtąd ani jednego z istniejących w nim słońc nie widać.

Chłopiec przebywa w innym świecie.

Ileż to dni i ileż nocy trwa ten wściekły, okropny ruch bez chwili spoczynku! Jak on się zadyszał, jak niezmiernie jest zmęczony, a jednak ciągle coś nim miota, popycha go, przymusza do biegu. I biegnie sam lub z mnóstwem innych ludzi, którzy krzyczą i on krzyżeć musi, choć piersi go bołą i głos mu w gardle więźnie. Czasem szybkość tego biegu staje się tak gwałtowną, iż ludzie rozpadają się na kawałki,

a wtedy osobno lecą głowy, osobno ręce, nogi...
Wtedy porywa go wicher tak szalony, że już
nic nie jest w stanie podążyć za nim, tylko świst,
huk, łomotanie rozlega się dokoła...

W tym samym czasie posługacz najspokojniej
siedzi sobie w ojcowskiej chacie, na ławie
i ze smakiem wyjada z miski kaszę, porządnie
okraszoną. „Podła służba w szpitalu — skarży
się przed matką — ale jeszczeby człowiek wy-
cierpiał, żeby nie jadło tamtejsze. Bardzo
obrzydliwe...” I nadstawia miskę po nową porcję
tej domowej wybornej kaszy.

— Panie Szulc, panie Szulc... panie Szulc —
szepcze drżący, rwący się głos.

Rzecz dziwna, iż głos ten choć cichy był,
wpadł jednak w ucho uczującego posługacza.
Ocknął się nagle i przysiadłszy na posłaniu, po-
patrzył mętnemi ze snu oczami na przykręcony
płomień lampy.

— Panie Szulc, panie Szulc.

Posługacz wstał i podszedł do chłopca.

— Czego chcesz? — zapytał dobitnie, na-
chyliwszy się nad jego łóżkiem.

— To pan, panie Szulc?

— Nie. Mów, czego chcesz.

— Oh, panie Szulc, jestem... jestem bardzo
słaby. Daj mi pan... wody, panie Szulc.

Mówiąc nie roztwierał powiek, a głos jego
dobywał się z niezmiernym trudem, jakby
z przymusu.

— Niema tu żadnego Szulca. Napij się.

Chłopiec zaczerpnął ustami kilka łyków wo-
dy z kubka. Zamilkł potem, ale usta jego po-
ruszały się wciąż, jakby daremnie usiłując wy-

raz jakiś pochwycić. Szulc uciekał już od niego z niewysłowioną szybkością, a on wszystkie siły natężał, aby go dogonić.

Posługacz wrócił na swe posłanie i rzucił się na nie ciężko, z wielkiem zadowoleniem. Kołdrę naciągnął na głowę — ot jak teraz zaśnie, to niech pioruny trzaskają.

Sąsiad chłopca otworzył w tej chwili oczy. Głosy rozlegające się w pobliżu wyprowadziły go z ciężkiej, odrętwiałej senności. Zdziwiły go z początku wielce, a potem żywą przyjemność sprawiać mu zaczęły. Czyż to nie upłynęły już miesiące, może lata od czasu, jak ostatni raz słyszał głos człowieka. Jak to miło! Szara i mętna przestrzeń natychmiast odsunęła się odeń daleko, przed sobą nie czuje już również ściany, a nawet widzi — tak, wyraźnie widzi światło. Przygląda się ciekawie temu czerwonemu ognikowi i decyduje w myśli, iż jest to dalekie ognisko, rozpalone na polu. Stamtąd to dochodzą go głosy, gdyż przy ognisku są zapewne ludzie. Radby podejść bliżej i posłuchać, o czym mówią, ale jest tak słaby... ognik gaśnie pod powiekami, które mu opadają; dokoła znów panuje milczenie.

Po chwili usłyszał wyraźnie, iż od strony ogniska ktoś zbliża się ku niemu, wołając: panie Szulc, panie Szulc.

Zdumienie go ogarnęło, nie otworzył jednak oczu, gdyż pomyślał: to nie moje nazwisko.

Głos nie ucichał, odzywa się bliżej lub dalej, jakby wiatr pochwytował to wołanie i niósł je nad polem, po nocy. A żałosne było, bardzo żałosne i wyraźnie — dziecinne.

Człowiek, słysząc to wołanie, zaczął drżeć.
— Panie Szulc, wody... odrobinę wody.

Słowa te tak wyraźnie zadźwięczały w uszach jego, iż się wstrząsnął. Wołanie o wodę wśród pustek i ciemności nocy przeraziło go. Z lękiem otworzył oczy — i nikogo nie ujrzał. Ognisko płonęło w tem samem miejscu. Dokoła była pustka.

Z odrazą przymknął powieki. Szara przestrzeń z rojowiskiem wstrętnych istot znów się doń przybliżyła — zdawało mu się, że gorączka powraca. To też gdy znów ten sam głos się odezwał, on tylko zaciął usta i postanowił słuchać spokojnie, poddawszy się gorączce.

Udawało mu się to z początku, lecz po jakim czasie znów z całą jasnością wystawił sobie dziecko jakieś zabłąkane w polu, w ciemności i wołające na niego obcem jakimś nazwiskiem. Dziecko to zabiega mu drogę ze wszystkich stron, usiłuje zajrzeć mu do twarzy, lecz w ciemności poznać go nie może i nie śmie rączką uchwycić go za ubranie. Żałość ścisnęła mu gardło. Z wysiłkiem wielkim podniósł głowę i szeroko rozwartemi oczami rozejrzał się dokoła.

Ah, jak trudno jest zrozumieć to wszystko!

Ani pola, ani ogniska, ani zabłąkanego dziecka — niema. Tak mroczno w tej sali, w kącie odległym płonie przyćmiona lampka — ona to wydawała mu się ogniskiem. Jednak tu jest ktoś żyjący i wzrok jego z osłupieniem spoczął na jakiejś drobnej istotce, leżącej na sąsiednim łóżku, pod kołdrą skulonej, niewyraźnej w mroku.

Nie odrywał od niej oka. Rozróżniał dość wyraźnie małą główinę, która zsunęła się na sam brzeg poduszki i z pod kołdry wysuniętą, za krawędzią łóżka zwisającą rękę małą, suchą.

Nagle nastawił uszu, znajomy głos odezwał się znowu.

— Marcel, Marcel... ty... nie dotykaj garnka... Ah, pić — panie Szulc.

Nie było wątpliwości, ten sam głos rozbrzmiewał poprzednio, kiedyś tam (wydało mu się, że *tamto* było już dawno) w ciemności, na polu.

Wzruszenie ogromne poczęło zalewać pierś człowieka. Wsparł się z trudem na łokciu i wychyliwszy się nieco za krawędź łóżka, nasłuchiwał z bolesnem jakimś naprężeniem w całej swej istocie.

— Wody — wody — wody — szeptały jednostajnie i żałośnie niewidzialne w mroku usta.

Zrozumiał! Oh, teraz wszystko było jasne i czemuż to tak długo nie mógł zrozumieć takiej prostej rzeczy, iż trzeba jak najprędzej — jak najprędzej napoić to biedactwo. Pewnym ruchem sięgnął po kubek, stojący na stoliku, który przegradzał łóżka. Kubek był pusty.

— Wody, wody...

Niepokój jego się zwiększał. Podniósł się i przysiadł na łóżku, starając się przeniknąć wzrokiem do ciemnych zakątków sali. Chciał kogoś przywołać.

— Czy jest tu kto?

Głos, jaki dobył, zdławiony był i niedźwięczny, a posługacz spał twardo. Była to ta godzi-

na nocy, kiedy sen zdrowych a w dodatku zmęczonych ludzi staje się kamiennym.

— Wody, wody...

Wahać się niepodobna; woda być musi; pójdzie po nią.

I począł wykonywać swe przedsięwzięcie.

Wysunął nogi za krawędź łóżka, postawił je na podłodze, zarzucił szlafrok na siebie, podniósł się... Nogi ugięły się pod nim raptownie; oparł ręce na stoliku — ręce zaczęły drżeć, drżał cały, powieki mu się przymknęły i ogniste kręgi pod niemi latać zaczęły... Ah, za słaby jest, za słaby — nie pójdzie!

— Wody, wody...

Pójdzie. Już ma kubek w rękę, już uczynił krok jeden, drugi. Ręką się trzyma za poręcz łóżka, pochwycił już poręcz drugiego, stania się, lecz postępuje... Już się opiera o trzecie łóżko.

Ah, oh! Czemuż to lampki gasną nagle, czemuż go taka nieprzenikniona ciemność ogarnia. Upadł na puste łóżko i czoło wsparł na zimnej, żelaznej poręczy. Wichur jakichś porozrywanych i splątanych myśli z hukiem przelatował przez biedną, znękaną głowę jego, a z tym wихrem myśl najważniejsza — odleciała. Dokąd on dąży, poco? Zapomniał, zapomniał...

Wody, wody...

Po wodę!... Porwał się i jak zwierzę ranione włókł swe ciało z niepojętym wysiłkiem — byle dalej, byle dalej. Oto już drzwi blisko, oto dotarł już do korytarza. Tam jasne światło oślepia go na chwilę; lecz zarazem wlewa weń nowe siły. Posuwa się opierając się o ścianę,

a wtem — Boże, jakżeś dobry! — kran, kran o parę kroków od niego...

Drżącą ręką odkręcił kurek i napełnił naczynie. A gdy już trzyma w ręku ten upragniony, pełny wody kubek, taka radość go ogarnia, takie szczęście bezgraniczne, iż... ręka drgnęła, kubek się przechylił, woda chlusnęła na podłogę, a on obsuwać się zaczął po ścianie, coraz niżej, niżej.

Upadał wolno ale zdawało mu się, że z ogromną szybkością stacza się do przepaści, a jedną tylko myśl unosił z sobą:

— Nie zaniosę mu wody!

Dwie silne ręce uchwyciły go w chwili, gdy dotknąć miał dna przepaści. Rozchylił powieki — głowa jego spoczywała na czyjś ramieniu, a tuż nad twarzą kołysały się wielkie skrzydła białego czepca.

Wtedy ręką wskazał zakonniczy kubek leżący na podłodze, westchnął — i omdlał.

...Dzień już był, gdy myśl człowieka tego znowu się ocknęła. Przytomność wróciła mu zaraz, gdy otworzył oczy; zaraz też dostrzegł zakonnicę klęczącą przed łóżkiem, na którym pod szarą kołdrą skulony leżał chłopiec — cichy — nieruchomy...

TAJEMNICE PARKU.

Fantazja.

Czysty, błękitny strop, w każdej cząstce iskrzący się i rozgrzany, obdarzał ziemię ciepłem. Spływało ono na rozbujałych falach, które, niosąc je, połowę rozlwały, czy gubiły, czy skradały. Oddech nieba upalny nie był, tylko łagodnie ciepły, tak miły, miły — jakby płynął z piersi, pachnącej szczęściem.

Na rozkołysane, powietrzne morze, wpływały niekiedy błędne żeglarki, wątle, białe, obłoczne puchy i trwożliwie omijały olśniewającą jasną siedzibę słońca, nie śmiejąc spojrzeć w dobrotliwą twarz, której jeden cieplejszy uśmiech mógł je roztopić.

Ziemia chciwie piła ciepło, które gubił i upuszczał rozbawiony wiatr, a drzewa, trawy i kwiaty chwytaly jego powiewy tak łakomie, jakby go chciały rozkraść.

Wiatr śmiał się i każdemu z rąk umykał. Lipom targał głowy, a gdy gniewne zsypywały nań pyły kwiecica, on śmiał się kontent, że będzie

pachniał. Brzozy poufale za obwisłe włosy pociągał i śmiał się, patrząc, jak fałszywe płaczki ze złością układają napowrót kędziory swoje w posępne sploty i udają dalej smutek.

Trawom złośliwie szeptał: „Skoszą was“; dmuchał na nie wonią siana, którą na łące jakiegś ukradł, i kazał się wszystkim pokładać, udając, że je ścina... Kwiaty na łączkach pogardliwie obwąchiwał: „Nie chcę waszej woni — nieprzyjemna, kupuję teraz u lilij, gwoździków i róż“ — szydził. Motyle spędzał z drogi, muchy potracał, małym ptakom pierza w locie rozdmuchiwał.

Nawet cudzoziemskich krzewów nie szanował... Na tuje ciskał zwiędłymi listkami akacji, chorowitą palmę uderzył w głowę, z cyprysów się naśmiewał: „Nie takie widziałem, a zresztą, co wy jesteście? Wynajęte, grobowe stróże; idźcie na cmentarz!“ — wołał i uciekał ku pomarańczom, a cyprys kiwał za nim posępnym tułowiem.

Przeleciał po powierzchni wody, dmuchnął łabędziom pod skrzydła i spadł na kwiatowe klomby. Tam pachniało tak, że ucichł na chwilę i pił słodką woń lewkonji... Ocieżał, upił się, chciał zasnąć — ale porwał się, chmurę pyłu podniósł, zakręcił nią, cisnął na drzewa i kwiaty, i zgubiwszy wszystkie wonie, które niósł — uciekł, niewiadomo dokąd.

Ciepło poczęło spływać po nieruchomych cząsteczkach powietrza. Rozrzucone wonie nieruchomie zawisły, ciężkie zapachy lewkonji, gwoździków i róż opadły na ziemię, nad nimi czuć było kwitnącą lipę, wiatr wysoko w po-

wietrze zawiesił jej zapach słodki, pieśczośliwy a skromny.

Na drzewach liście bezwładnie zaciężyły ku dołowi, powierzchnie ich piły słońce, lecz trunek ten zabierał im siły i suszył je; tylko pomarańcze, cyprysy i wynędzniałe palmy chciwie pochłaniały upał a wciąż mimo to wydawały się bliskimi śmierci.

Nieruchome, u końca niewidzialnych nici wiszące, z rozpostartymi skrzydłami, szmaragdowe muchy, cicho wypatrywały nad łączką zdobyczy; zniechęcone — odbiegały nagle i szybko. Motyle ociężałym, nieporządnym lotem miały się po powietrzu, jak listki bez celu unoszone wiatrem, lecz od czasu do czasu wpadały w trawy i szperały między niemi długo. Małe ptaszki przelatywały z drzewa na drzewo lub z gałęzi spadały w trawy... lub uczepiwszy się gałązki jakiej, nadymały gardziołka i całe się trzęsły, rozdęte przenikliwym głosem, który się z nich dobywał... Był to albo jeden, do nieskończoności powtarzany dźwięk, albo jedna zwrotka, zawsze tak samo zaczynana i kończona.

Nad ciemno-zieloną i, zdawało się, że bezdenną powierzchnią strumienia płakały, bez łez i bez głosu — jesiony, graby i wierzby, i w smutku zdawało się im, że toną w wodzie, rzucając w nią pokolei ciemne pnie, szmaragdowe liście i uczepione do nich szmatki błękitu. Lecz woda nie brała im nic, tylko na listki ich odrzucała zmienne, drżące blaski światła których pełne było jej łono... Tu błąkały się jeszcze resztki chłodu.

Niebo oddychało już żarem, słońce ognistą pieśczętę słało ziemi, a w parku zimno było chyba tylko jednym posągom.

Przynajmniej — tak wyglądały.

Ongi bardzo piękne i bardzo białe i bardzo z swej nagości dumne, nigdy nie miały wyglądu istot, uskarżających się na zimno. Gdy promienie słońca przygasały, rozgrzewało je poczucie swego piękna. Dziś, gdy ukazał się przecho-dzień, zdawało się, iż słyszysz jak zgodnym chórem wołają: Ah, nie patrz na nas. Zakryjcież nas czemś, na Boga“.

Były ongi dumne, boć stworzone by uczyć ludzi piękna, wdrażać ludzi do piękna, czynić ludzi lepszymi przez piękno. Lecz oto kiedyś jakaś parka młoda i rozchichotana urwała Dia-nie koniuszczek nosa. Był wprawdzie nadpę-knięty, lecz mógł się jeszcze długo trzymać... Ktoś inny powypisywał na piersiach nimf obrzydliwe sentencje. Innym razem, jakiejś gromadce ludzi do pełności miary ich wesela potrzeba było tego jeszcze by ćwiczyć się w trafianiu do posągów skorupami jaj i resztkami jada. Ktoś inny to spostrzegł i skorupki zastąpił grudkami błota, a znów inny — kamykami. Odtąd nic nie mogło sprawiać posągom większej odra-zy jak obecność ludzi w parku.

Nie dziw przeto, iż młode dziewczęta na piedestałach kurczyły się jakoś niechętnie; młodzieniec z harfą w ręku znękany, głowę opuścił; skulone satyry cierpko się uśmiechały, boginie i bogowie — wszystko było smutne. Wszystkich głowy zwrócone były do słońca, lecz w oczach otwartych a ślepych nie świeciły

błyski radości, jaką czuły drzewa, kwiaty, owa-
dy, ptaki.

Były ciche i bez ruchu, tem wymowniejsza
biła o dnich skarga. Dzieci, piękniejsze od ju-
trzenki, miały pęknięte czerepy, chłopcy, silni
jak lwy młode, pokazywali okaleczone ręce,
a ta Diana — bez nosa... Była tam marmurowa
dziewczyna, która stojąc nad wodą wplatała we
włosy róże; czcił ją cały park, gdyż piękniejszej
istoty nie podobna było wymarzyć. Na jej pier-
siach zakrzepły strugi brudnej wody, zdawało
się, że jej skóra biała i połyskliwa drży ze
wstrętu pod tym błotem. Inna zastygła w na-
miętym tańcu, lecz jednej stopie jej brak było
palców, na których wspinając się, miała wyko-
nać najłżejszy i najwdzięczniejszy ze swych ru-
chów. Rłakały nad nią drzewa i przykrywały
ją grubym cieniem swych sklepień...

Słońce ich nie cieszyło; były zimne, znie-
chęcone, smutne...

Nagle od wejścia rozległo się ciche chrzą-
kania satyra, który tam czuwał — stary i obu-
marły. Wiatr, lewotały, wpadł w tej chwili,
pochwyił chrypliwy głos i w szeleście liści roz-
niósł go po parku. Był to znak, że ostatni ze
świętecznych pijaków wyszedł trzeźwić się, czy
upić lepiej — i że park na chwilę, na jedną
chwilę będzie pusty, i niczyje oko wnętrza jego
nie śledzi.

Wtedy młodzieniec z harfą podniósł głowę,
uśmiechnął się z półdziecinną radością i trącił
struny...

Park zamarł, wiatr legł na powierzchni wo-
dy i nawet łabędzi nie drażnił. Olbrzymie oko

słońca błysnęło żywiej i zdawało się, że oblicze jego niżej się nachyla, a oddech staje się gorętszym... Głębokie westchnienie wzbilo się ku niemu, niosąc na skrzydłach przenikliwie smutną pieśń uwieczonych:

„O, czemuś oderwał nas od twego łona? Czy ci nie żal własnych cząstek? Czy nie świeciłyśmy dość pięknie i czysto? kazałeś nam krążyć dokoła głów ludzkich, pozwoliłeś, by plugawe ręce nas pochwytyły, na twój rozkaz oblekłyśmy te nędzne formy! I patrz, kto nas czci, kto kocha, kto odgaduje? O, weź, nas, weź, weź...”

Zimne i oszpecone kamienie świeciły w tej chwili słoneczną jasnością i odzyskały nieskalaną piękność i czystość. Członki ich były gibkie, ruchy niewysłowienie wdzięczne; oczy, utkwione w słońcu, płonęły myślą i zachwytem, wilgotne usta drgały, przepuszczając słowa błagalne i piersi dyszały wzruszeniem.

...Burza zostawiła ziemi świeżość, a noc pieściła ją ochłodzoną dłonią. Usypiający park miał oddech wonny. Oblane mdłym światłem księżyca, posągi promieniały łagodnie.

U wejścia rozległo się znów chrząkanie satyra. W parku nie było nikogo. Nikogo! Co za szczęście!

Lekkie uśmiechy przemknęły po twarzach bogów, bogiń, młodzieńca i dziewcząt. Ciała ich znów żadnych skaz nie miały, oczy błyszczały, usta zwilgotniały i drgały, chciwe pocałunków; członki rozginały się z wdziękiem. Pierwsza zeskoczyła z piedestału tańcząca nimfa. Lżejsza od wiatru, w ruchach lubieżnych podbiegła do starego satyra i ze śmiechem po-

chwyciła w białe dłonie jego głowę. Zdumiony stróż parku chrząknął radośnie i suchemi rękami oplótl... księżycowy promień. Nimfa kołysała się już zawieszona na szyi młodzieńca, który w uścisku jej omal harfy nie uronił.

Satyr ze złości spadł na ziemię i kucnąwszy na krzywych nogach — przeraźliwie zawył. Lecz krzyk swój urwał nagle i zmieszany, bez szmeru wdrapał się na piedestał.

Ciche: ts—s... przeleciało po parku.

Stara kobieta i mała dziewczynka szły wolno ścieżką przez park, skracając sobie drogę do wsi, za miastem. Dziewczynka lekliwie patrzyła na ciemne zarośla i zgubione w nich drobne, księżycowe światełka. W ręku miała spódnice matczyną.

— Mamo, tu ktoś gada.

— Nikt nie gada, Joasiu, nie bój się wcale.

Księżyc rzucił przed nie wielką srebrzystą plamę, a w zaroślach obnażył satyra.

— U—u—u... ma... mo...

Jakieś struny pękły w głosie dziewczyny, załkały w wielkiem przerażeniu. Matka pochwyciła ją na ręce i szła prędeej, a w ramię jej wsiąkały ciepłe łezki Joasine.

Tymczasem satyr spłonął krwawym rumieńcem i pierwszy raz w życiu żałował, że jest tak brzydki, że przestraszył małą dziewczynę. Jak mógł najciszej, szeptał do nimfy: „Ona się boil” Posągi powtarzały jedno drugim: „Mała dziewczyna się boil” I każdy stroił się w najweselszy uśmiech, a przyjazne ich tchnienia tak nasyciły powietrze, że olśnione dziecko podniosło głowę i znów się rozejrzało.

Były nad wodą. Księżyc świecił i daleko odgarnął cienie, rozespany łabędź sennymi ruchy płynął do brzegu, a w zaroślach kwilił zbudzony ptak. Nie było się czego bać. Kobieta zatrzymała się chwilę, nabierając tchu, a Joasia, zsuwając się z rąk jej, szepnęła:

— Siądźmy, mammo, tam, gdzie to białe...

Siadły u stóp dziewczyny, przeglądającej się w wodzie i upinającej różę we włosach. Starej kobiecie zaraz zaciężyła głowa i pochyliła się na piersi. Joasia szepnęła:

— Mammo, jaka ona śliczna, kto ona jest?

Głębokie westchnienie przebiegło po parku. Posągi cicho łkały ze wzruszenia i powtarzały sobie: „Ona powiada, że my śliczne, mała dziewczyna powiada, że my piękne”...

Lekkie, niewidzialne, powietrzne istoty odłączyły się od posągów, oplotły głowę kobiety i dziecka, i całowały je, tuliły, pieściły...

Tej nocy, jak i zwykle, Joasia spała w lichej, chłopskiej chacie, ale główka jej pełna była pięknych snów i widzeń. A nazajutrz, gdy cieszyła się, oglądając świt, nie wiedziała, że wspaniałe oblicze słońca wpatruje się w nią i oblewa uśmiechem, widząc zasianą w jej duszy miłość dla piękna.

PIEŚN NA PROGU.

fantazja.

Kiedy Alojzy opuszczał dom rodzicielski, Marta i Jan żegnali go czule. Ona mówiła:

— Bądź dobrym, niczego więcej nie pragnę. O, gdyby słowa moje stać się mogły skrzydlatym aniołem, któryby cię od złej myśli i złego czynu osłaniał, synku mój najmilszy!...

Usta matki i syna złączyły się w pocałunku, a ręce w uścisku splotły. Oboje czuli iż jeden strumień życia, myśli i uczuć opływa ich ciała; w obojgu dziwnym bólem, rozkoszą i tkliwością zadrgało wspomnienie, tkwiące w każdej ciała cząstce, iż niegdyś stanowili — jedno. Spojone wargi: suche i zwiędłe — kobiety, różowe, wilgotne i pełne — chłopca, nie chciały się rozierać, a gdy uczynić to musieli, usta ich zaszemrały bolesną skargą.

Lecz Jan ujął syna za rękę i powagą swego wzroku wrócił mu męstwo. Potem wyprowadził go na wzgórze, skąd oko mogło ogarnąć rozległą dolinę: pośrodku jej błękitną i nieru-

chomą powierzchnią rozlało się jezioro, a dookoła niego rozrzucone śmiały się w słońcu białymi ścianami domy osady. Dzień był jesienny, mgły ranne podniosły się już i uleciały, a tylko najcięższe z nich niebieskawą zasłoną otulały szare i obnażone grzbiety wzgórz. Między ścianami głębokiego parowu, u nóg Alojzego i Jana kryła się ich chata, ukazując tylko strzechę, z pod której wylatały stada wróbli i co prędzej znów pod nią wracały. Kilka srok szczebiotało w powietrzu pożegnania dla chłopca. Z chaty jednej wyszła kobieta i przysłaniając dłonią od słońca swe oczy, przyglądała się ludziom, stojącym na szczycie wzgórza; potem uczyniła ręką znak pożegnania; ruch ten powtórzyli i inni ludzie, starcy, kobiety i dzieci, których dzień pogodny zwabił na oblane słońcem przyzby. Wówczas Jan, roztaczając ręką krąg nad doliną, rzekł:

— Gdy będziesz bardzo zmęczony i smutny, przypomnij sobie o tym zakątku ziemi. Wiem, że będziesz walczył do końca, lecz nie zawsze najłabszymi i najgorszymi z ludzi są ci, którzy nie mogą dojść do wielkich celów, jakie w zaraniu życia z najczystszych głębin ich ducha wschodziły niby słoneczne widma. Więc wyrzut cię tu nie spotka, a serca, które tęsknotą po tobie bić będą, zachowają zawsze ciepło dla rozgrzania zmrożonego ducha.

Uściskał go i zostawił samego.

Alojzy uszedł już spory kawał drogi, gdy nagle wiatr powstrzymał go echem czyjś wołania. Odwrócił się i dojrzał ludzką postać, śpieszącą po drodze przebytej przez niego. Od

wiatru szybciej podbiegł do niej i w ramiona pochwycił Martę.

— Chciałam ci jeszcze powiedzieć... Gdybyś uczynił kiedy co złego... — mówiła zadyuszana, a zmęczenie rwało nitki jej wyrazów.

— To ty jedna przebaczyćbyś mi mogła, choćby wszyscy potępili? To chciałaś powiedzieć? — pytał Alojzy, niosąc ją w ramionach na skraj drogi i sadzając na kamieniu, przy którym ukląkł i głowę na jej kolanach położył.

Marta nachyliła usta ku uchu jego.

— Możeby wargi nie chciały przepuścić słów przebaczenia, lecz serce. O radosny promyku mój! — szepnęła — gdybyś ty się grzechem splamił, jabym cię sama oddała na śmierć lub na hańbiącą karę, lecz wpierw uścisnęłabym cię ot tak — ot tak... a później — poszła razem z tobą.

— Więc przyrzekam ci, iż będziesz wiedziała wszystko, cokolwiek uczynię.

Wiatr jesienny długo jeszcze zgarniał skrzydłami echa ich szeptów, płaczu, pocałunków, zaklęć i obietnic.

A Jan, stojąc na szczycie wzgórza, zapatrzył się w mglistą dal, która pochłonęła mu syna. Myśli jego biegły śladem tego, który odszedł, i spływały wreszcie w cichy, modlitewny śpiew.

„O wiosno ducha! Czy nie piękne są zorze, z których powiewy twe ranne zdzierają purpurę, by nią przysłonić w oczach młodości brudny łachman życia? Czy nie świetne te słońca, którym kradną promienie, by w złudnem ich świetle ukazać widmo jego nęcącym i pięknem? Czy nie czarodziejskie te chóry, których echa wesole

twój oddech w pierś młodą wlewa? A przecież, o piękna! twe czary nie powstrzymują młodości, by niecierpliwą ręką nie rwała ze śmiechem tkaniny złudzeń, kryjącej świat, byt ludzki i byt rzeczy; pieśczoła tkliwa nie utuli niepokoju myśli szarpiącej się do prawdy, ani nie uspi serc łaknących cierpkości bólu — i szept twój umilknie, lub złączy się z przywołującym głosem wiedzy! O niebieska! patrz w tę światłość, którą rozpały jasne duchy ludzkie i zgaś twe barwne zorze i ułudne słońca, niech skrzydła twe jedne tylko jej promienie zgarniają i jej ciepłem się rozpalają, a gdy w tchnieniu jego stopnieją mgły i z nich świat się przed okiem młodości wynurzy, powróć do nieba i przynieś ognia zachwyków i upojeń, który tylko w młodem sercu się rozpala: tu na ziemi czekać cię będą młodzi, klęczący w podziw i zadumiel

A gdy wstaną drżący, wzruszeni, z płomieniem w oku i burzą w piersiach, o dobra! nie gaś tej dumy, z którą stopa ich deptać będzie przesady i nie studź odwagi, z jaką dłonie ich pochwyca świeczniki promienne i ciemnościom grozić będą, lecz gorącym tchnieniem poezji wiosennej podsycaj ogień miłości, którym ich serca ogarną świat, ludzi, kraj swój, i nad nimi — tam gdzie jest tylko mrok chłodny — rozpal, o miłosierna! płomyczek nadziei!"

Taką modlitwą Jan żegnał syna.

W mgliste swe i nieuchwytne ramiona życie przyjęło Alojzego z taką obojętnością, z jaką ocean otwiera swe łono olbrzymie dla wód ma-

łego strumienia. Potężna, lecz bezmyślna fala uniosła go, tyle się troszcząc o los jego, co o los każdej z kropli, wyssanych słońcem w obłoki lub spadłych z obłoków, a on na jej grzbiecie popłynął ufny i bezpieczny, rozmarzony, w szmery jej wsłuchany i w mgliste nad sobą obrazy wpatrzony. I zdało mu się, iż w głębinie wód życia jest ktoś, co nań czeka, ktoś, co pragnie go i tęskni doń, iż czyjeś głosy go przywołują, dokoła uśmiechają mu się twarze przyjazne i oplatają go braterskie ramiona.

W duszy Alojzego drgała jedna struna dziwna. Kto ją tam nawiązał? Może uplotła się z tych któremi Marta wypłakiwała mu u Boga — dołąć jasną! Może wysnuła się z tych dum, które marzył Jan nad kolebką jego schylony! Wydzwaniała mu ona piosnki tak rzewne i tak żałosne, iż w słuchaniu ich oczy łzawą mgłą mu zachodziły i cień tęsknego smutku kładł mu się na twarzy, ścierając z niej uśmiech. Dziwna struna! Gdy na niebie czystem, jak dusza jego, witało go słońce, jak młodość — jasne, gdy kwiaty przywoływały go wonią słodką i barwami oczy wypieszczwały, gdy trawy kobiercem miękkim pod nogi mu się kładły a drzewa chłodnym cieniem go nakrywały, gdy w spokojnym majestacie odślaniając wspaniałe łono — śmiała się doń łaskawie przyroda i głosy jej, bez troski dźwięczące zlewały się w słuchu jego w chóry wesela—wtedy harfę jego duszy trącały czyjeś tchnienia i jedna struna tęskliwa odzywała się cicho, cicho, żałośnie. Bez skargi na radość omroczoną Alojzy słuchał co duch mu własny śpiewa i zdawało mu się, że to w piersi jego

kona dalekie echo czyjegós ogromnego bólu i bezmiernej niedoli.

Z myślą wiszącą u pytania: kto cierpi? kto go woła? — wsłuchiwał się w odgłosy płaczu i śmiechu, tętniące w fali życia, i wypatrywał rafy te, o które z płaczem rozbijają się piersi ludzkie, i szukał okiem tych zatok cichych i słonecznych, ku którym tłoczą się zwabione ich weselem istnienia ludzkie. Powoli, z oceanu pragnień, nadziei, namiętności, usiłowań, cnót i występków, w którym jako jedna kropla kąpała się myśl jego, począł wynurzać się przed nim obraz człowieka, skupiający w sobie rozpierzchłe w tych żywych kroplach pyłki barw, i wpatrując się weń w niemym zachwycie, dojrzał wszystkie rysy wiekowej niedoli, mroczące wspaniałe piękno tego obrazu.

Wtedy powrócił znów do słuchania tego, co w nutach żałośnych śpiewała mu arfa, którą nosił w piersiach. Jej piosnki były tak smutne, że nie mogąc ich dłużej tłumić w swej duszy, szukał kogoś, ktoby je chciał wysłuchać.

Myśl jego skierowała się do starca poety, którego pieśni, oplakujące niedolę ludzi, wzruszały go głęboko. Zdało mu się, iż dusza tego człowieka musi być bardzo zbolełą i że łatwo zrozumie on smutek innego.

Nieśmiały i wzruszony stanął przed nim dnia pewnego.

Starzec przyjął go z życzliwą powagą i sam z drżącej ręki jego wyjął zwitki papieru, podobne do tych, jakie dostrzegał w dłoniach wielu odwiedzających go. Rozwinął i odczytał jeden z nich, i rzuciwszy następnie okiem na bla-

de, drgające od niepokoju i wzruszenia oblicze chłopca, mówił mu dobrotliwie:

— Daruj starcowi jego ciekawość, mój synu. Czy życie nie obarczyło cię dotychczas żadnymi obowiązkami?

— Nie popełniłem występku, za który zasłużyłbym na wytrącenie mnie z szeregów moich braci, niosących ich brzemię — odparł Alojzy.

— Więc nie jesteś nieszczęśliwym! Może masz rodziców, których starość pielęgnujesz, ujmując ich barkom osłabłym ciężarów życia. Czy wiesz, jak słodko jest tę ścieżynę, którą, pocąc się krwawo, wykuły ręce ojcowskie, rozszerzać w szeroki gościniec, dążący tam, dokąd tysiące innych dąży, tam, gdzie w wielkie zbiornisko zlewa się sława, bogactwo, potęga narodu? Może masz kochankę, z którą spleciesz swe dłonie dla wspólnej pracy! Jak lekką staje się ona, gdy w uszach zadźwięczą srebrzyste chóry dziecięce, z jaką dumą wyprowadza się później swych synów na drogę, własnymi rękami uotrowaną! A jeśli jesteś samotny, jeśli podmuch złego losu zgasił ci ogień rodzinny, to przyłączyć się możesz do jednej z tych gromad ludzkich, które zwolna, z mozołem niewysłownym podążają ku dalekim celom, jakie wytknęło ludzkości pragnienie uszlachetnienia się: ciepło braterskich piersi byłoby dla ciebie równie ożywcze, jak uścisk matki lub kochanki. Jeśli to, co ci mówię, nie jest nowem dla ciebie, to powiedz mi, czemu tak smutną jest piosnka, którą mnie obdarzyłeś?

— Mój mistrzu, w obrazie, jaki skreśliłeś,

odbija się spokojna szczęśliwość. Mógłbym łatwo pozyskać ją dla siebie, lecz widziałem tłumy ludzi, wydały mi się nieprzeliczone, dla których jest ona straszliwie daleką. Tłumy te nie dążą nigdzie, spowiło je tyle ciemności, jakby niczyj mózg nie zapalił nigdy płomyka wiedzy, i tyle nieszczęścia, jakby niczyje serce nie chciało nigdy uskąpić sobie radości dla obdzienienia nią innych. Widziałem jeszcze, iż gościńce życia roją się ludźmi, którzy bezładnie dążą w różne strony i zdają się uciekać przed jakąś straszną, druzgoczącą siłą; ze śmiechem szyderstwa lub z tkliwością obłąkaną niosą oni szczątki pogruhotanych nadziei, złamanych uczuć, rozbitych wierzeń i głosem jedyne go tylko pragnienia przywołują — każdy dla siebie — posępną łódź śmierci!

Te głosy płoszą mi sen. Ciskają mi jakiś wyrzut, który mnie niepokoi, lub tęsknie żądają czegoś ode mnie. Powiedz mi, mistrzu, czy z ludzkich piersi może się wydrzeć pieśń tak piękna, by pieśzczotą dźwięków goić mogła rany i siłą brzmienia rozbudzić wszystkich, którzy w słodkim śnie szczęścia nie słyszą tych ech smutnych, pełnych bólu i skargi?

Starzec ujął go za rękę i w czarnej głębi ocz jego zatopił długie wejrzenie, pełne obaw, żalu i tkliwości. I rzekł zcicha:

— Duch miłości działaćby mógł to, czego pragniesz; lecz jakże trudno jest śmiertelnym ustom wysłowić szept jego! Nie mówię ci: próbuj! gdyż każdy, czyjego ucha dotknęły niewidzialne usta jego, musi powtórzyć to, co słyszał, lub umrzeć. Lecz pragnąłbym, by pieśń

twoja była doskonalszą od innych, by się prze-
lała w krople rosy i spadła na uznojone czoło
ludzkości. Zazdrościłbym ci wtedy.

Umilkli obaj. Starzec zapadł w głęboką za-
dumę. Zdawało mu się, iż przed okiem jego,
uchylającym zasłonę wiekowej przeszłości,
ludzkość wyłania się w mozolnych, mrówczych
ruchach z odmętów zwierzęcego życia. Jak nie-
pojęcie daleko, jak niepewnie i blado połysku-
ją przed nią światła, a przecież ku nim to wła-
śnie kieruje się ona, stąpając niepewnie, jak
dziecię, ręką nieśmiałą rozgarniając przed sobą
ciemności. Jaka przestrzeń do przebycia! Czy
dojdzie? Czy nie pochłonie jej jaki bezmyślny
i straszliwy kataklizm? Posuwa się tak wolno,
jak wolno odbywają się wszelkie przeobraże-
nia, we wszechświecie. Prawo to ciężkimi wię-
zami ugniata tych najlepszych jej synów, którzy,
śląc swą myśl lotną daleko po drodze, jaką
przebyć należy, radziby jednym dźwignięciem
pociągnąć za sobą całą bratnią rzeszę. I zdało
mu się, iż widzi, jak w cichym grobie przeszło-
ści układają się te ręce niecierpliwe, jak prze-
strzeń rozwiewa pieśni tęskne, które przez
chwilę unosiły się nad sunącą zwolna ludzko-
ścią, budząc ją i nakłaniając do biegu. Wzrok
jego przesunął się raz jeszcze po twarzy chłop-
ca, i znów obłok smutku zaćmił oblicze starca.

— Duch miłości żyje wciąż — myślał —
i w naszym lichym, ograbionym z uczuć wieku
wciela się jeszcze w nikczemną, człowieczą
formę, paląc ją, jak słomę, podmuchem gorą-
cym. Jak srogie są cierpienia tych żywych sto-
sów, a jak niedaleko sięga ich światło i ciepło!

Alojzy innem okiem, okiem przeczucia spozierał w tej chwili w przyszłość. W powodzi swiateł, zalewającej jakąś przestrzeń rozległą, wzrok jego dostrzegał snujące się obrazy szczęścia. Oślepiający blask i świetność barw nie pozwalały mu zatrzymać ich w oku, lecz czuł, iż nadejdzie chwila, gdy tak się doń zbliżą, iż będzie je mógł nazwać swoimi i wyśpiewać. Naprężony słuch jego chwycił jakieś oderwane słowa, a gdy próbował zestroić je razem, przebiegał po nim dreszcz w pół-bolesny, pół-rozkoszny, dreszcz oczekiwania i nadziei.

Biedna myśl i słabe człowiecze serce tylko w bólu niewysłowionym powtórzyć mogą dźwięki, które rodzą się w łonie ożywiającego je ducha. I rozkosz, która z mąk tych płynie, jest tak wielką, iż pod nią drży, ugina się i omdlewa bezsilne ciało. W bólu i rozkoszy tworzenia — Alojzy ucierał się długo z własnym duchem, — nim dobył zeń czysty i pełny głos oczekiwanej pieśni!

Jednego wieczoru starzec poeta znalazł na progu swej izby porzucony zwitek papieru. Zostawiła go ręka, która nie śmiała zakolać do drzwi.

Noc była wiosenna, mroczna i burzliwa. W chłodnym uścisku jej miasto zamarło, przytainszy swój oddech, jak zwierz nastraszony wyciem burzy.

Przesądnym i lęklwym zdało się, iż złośliwe duchy jakieś w swych sercach czarnych i zimnych wypieściły potworne przeciw nim za-

mysły, i pokłóciły się, a burza echem ich kłótni była. Więc ci z ludzi, którzy od czarnej napaści tarczę mieli w ciszy, ciepłe i świetle rodzinnych ognisk, uciekali do nich tak szybko, jakby po raz ostatni rozgrzać mieli członki, oczy blaskiem napoić i słuch wypieścić słodkimi dźwiękami domowych radości. Gdy czuli się już u siebie, bezpieczni zasiadając w kole domowników, opowiadali jak strasznymi głosami przestrzeń wygraża ziemi, i drżeli jeszcze, nie mogąc z pod powiek wydrzeć odbicia czeluści, może piekielnych, które na chwilę oczom ich się rozwarły.

Byli przecież tacy, których noc ta w opuszczeniu i samotności zastała. Ci się jej nie lękali.

Alojzy błąkał się po ulicach, nadstawiając twarz chłuszczącym biczom wody i pozwalając się popychać zimnym dłoniom wichru. Szedł bez celu, a lęk jakiś, któremu oprzeć się nie miał siły, odpychał go dalej coraz od miejsca, gdzie w mroku nocy płonęło ciepłe i przyjazne światelko w oknie starca.

Dusza Alojzego była tak zmacona w tej chwili, jak przestrzeń. Przelatywały nad nią wichry obaw, niewiadomo w czyjem tchnieniu zrodzone i niosące z sobą hasła trwogi niewytłumaczonej; rozpały się w niej ognie pożądań tak namiętnych i gwałtownych, jak błyski, które rozdzierają i ogarniają przez chwilę chmurę i wnet gasną, pokonane ciemnością — i pełna była głosów tak pomieszanych i niezrozumiałych, jak nocne chóry burzy. Zdawało mu się, iż odbył już drogę długą, długą, popychany

wciąż czyjąś dłonią niewidzialną i tak okrutną, że nie dawała mu się obejrzeć i dostrzec oblicza siły, której ulegał. Kiedyż skończy się bieg męczący! Kiedy nastąpi chwila, w której poczuje, iż spełnił to, czego odeń żądano! Chwila ta byłaby pełna niewysłowionej, bezmiernej radości. Lecz może nastąpi ona tak, iż czuć jej nie będzie? Może już nastąpiła! Te ręce, które nieubłagalnie pchały go kędyś, które zniewalały do śpiewu arfę, zamkniętą w jego duszy, teraz gdy wyśpiewała ostatnie słowa żądanej pieśni — może pochwyciły ją już i cisnęły o głaz jaki i porwały struny — już nieużyteczne! Czy w piersiach jego nie przelewa się długim jękiem echo zerwanych strun wszystkich, wszystkich — i czy nie żegna go ono słowem: oto koniec! Lecz pieśń nie umilknie wpraw, zanim on umrze; na cóż mu myśl, świadomość, uczucie — bez niej? Ona ulecieć może tylko z tchnieniem życia, gdyż była życiem, przelewała się krwią po członkach jego, karmiła go, poila i kołysała do snów! Ta myśl rozlała dreszcz rozkoszy po ciele jego i spłynęła w jakiś smutny spokój, który go ogarnął.

Począł się wsłuchiwać w rozigrane w burzę głosy ciemnej przestrzeni i one przemawiały do niego dziwnie wymownym i surowym smutkiem. Rozumiał je. Nie były odgłosem walki, gdyż łono wszechświata jest wiecznie spokojne, nie rodzą się w niem zachcenia żadne, nie ścierają nigdy wrogie sobie wole; wytracone w punkcie jakimś z równowagi siły powracają do niej uległe: potęgi nieświadome siebie i celu swego, są milcząco i ślepo posłuszne dą-

żeniom narzuconym, brzmiącym, jak rozkaz prosty, wyraźny, niezmienny. One są jękiem pokory. Leczą czy martwej przestrzeni tylko? Czy nie zlewa się w jęk ten skarga ludzkości, toczącej z równą pokorą fale pokoleń ku celom nieznanym? Czy i nad nią nie zawisła czyjaś woła nieprzeparta? I oto w jednej, nieposłusznej piersi ludzkiej rodzi się woła oporna tamtej, jedno serce, zachwycone własnymi pieśniami, usiłuje wyrwać u tamtej szczęście dla ludzi! Ah! by zdziałać to, pieśń jego powinna być głośniejszą od wrzawy huraganu, jej echo powinny się odbić aż w piersi wszechświata, i wstrząsnąć nim i rozbudzić go!...

Zwątpienie tak szybko zalewa dusze młodych, jak wody wezbrane — nadbrzeżną równinę. Chłód jego w jedno мгновение skuł Alojzemu piersi, i dźwięki, które z serca jego przedzierały się przez ten pancerz lodowy — słowa pieśni, które tak niedawno rozlewały potoki żaru po żyłach jego — teraz wydały mu się zimne i tak ciche, jak szepty słowicze. Kimże one wstrząsną? Kogo rozbudzą!

Szedł dalej coraz w zupełnej pustce nocy i zdawało mu się, iż go pociąga brzeg jakiejś przepaści bezdennej i cichej, i że, gdy nad nią stanie, nie będzie już mógł oprzeć się pokusie spokoju i zapomnienia — tam, na jej dnie. Oczy jego, zatapiając wzrok w ciemnościach, wypełniały próżnię jej obrazami samej tylko niedoli, nędzy, płaczu ludzkiego, a jednocześnie słuch miał pełen głosów, które nań wołały: „Zbyt wiele kochasz, twoje serce nie ostoi się wobec tego, co oczy widzieć będą — życie jest dla

tych, którzy skorupą obojętności serca odzieją a na twojem nie utrzyma się ona nigdy — więc ustąpi!”.

„Powróć do nas, gdy będziesz bardzo zmęczony” — szeptały czyjeś usta, i zdaleka, zdaleka uśmiechnęły mu się twarze Marty i Jana. Lecz to wspomnienie tylko nowym smutkiem ścisnęło mu piersi. „Nie uczyniłem nic, by zasłużyć na słodki odpoczynek między nimi” — powiedział sobie.

Mrok opuszczenia i samotności gasił myśli jego. Czuł się tak słabym i wyczerpanym, jakby życie uciekało zeń wielkim, niepowstrzymanym strumieniem. Za chwilę, koniec nastąpi bez wysiłku, bez walki i bólu. Więc jedno już tylko pragnienie paliło pierś jego, oto zobaczyć jeszcze na chwilę twarz ludzką, choć jedną, i błagać o uścisk — najkrótszy, byle nie umierać w zimnych objęciach przestrzeni, lecz przy cieplej piersi człowieka! To mu się należy za miłość, jaką kochał ich wszystkich.

Starzec czuwał tej nocy. Nie burza płoszyła mu sen z powiek, lecz pieśń niepojęcie piękna, którą na zwitku papieru napisaną ktoś zostawił u proga jego domu. Pełen niewymownej obawy, niepokoju i oczekiwania, nie schodził z tego progu i, tęsknie podnosząc ręce, przyzywał kogoś z ciemności, której nieprzedarta zasłona wisiała nad snopem światła, padającym od drzwi odchylonych. Wtem z pod rąbka jej wychyliła się ludzka postać drżąca, chwiej-

na, padająca. Z ust starca dobyły się z krzykiem radości tylko te słowa:

— O, mój synu!

Na ramionach swych, w których nagle odzyskał młodzieńczą siłę, poniósł Alojzego do izby i ułożył go, jak dziecko, na swoim łożu. Potem klęczał przy nim i szeptał mu do ucha wyrazy, które najcudniejszą melodią rozplywały się w słuchu Alojzego, wracając sercu jego ożywcze ciepło.

— Nigdy z ust ludzkich nie wydarł się równie potężny głos miłości, jak ten, który w pieśń swoją zakląłeś — mówił starzec. — Lecz nie pozwalaj, by cudze usta nieumiejętnie głosiły jej słowa, niech bracia twoi słyszą je od ciebie samego, gdyż ty tylko włożysz w nie żar, który spopieli pokrywę obojętności, zamykającą ich serca.

...Noc jeszcze była, gdy Alojzy rozstał się ze starcem i powrócił do własnej izdebki, by w ukryciu i samotności uczcić tę cichą i wielką uroczystość, jaką święciła teraz dusza jego, a która podobną była do tej, jaką święci przyroda po wiosennej burzy. Lecz chmury, które ją zawlekły na strop jego ducha, nie rozpierzchnęły się zupełnie, ślad ich został we mgle, nawianej przecuciem tych zwątpień i upadków, które nań czekają za progiem otwierającego się przed nim z chwilą tą życia.

Wreszcie nastąpił świt.

Pierwsze promienie słońca ucałowały tkliwie oblicze Alojzego, które z młodzieńczego stało się męskim: niewidzialne dłużej ubie-

głej nocy wyrzeźbiło na niem głębokie rysy smutku, których nic już zetrzeć nie miało, gdyż były one piętnem, jakie duch miłości wyciska na wysłańcach swoich, idących ze słowami jego między ludzką rzeszę.

B Ó R.

F a n t a z j a.

Było chłopię małe, snem spowite.

Był bór wielki, śpiący, szarą mgłą nocny zakryty.

Wstało słońce i chłopca zbudziło, w powieki go całując.

Wstało słońce i nad lasem mgły inne — ozłoczone, białe, błękitne zawiesiło.

Zobaczył chłopiec, że bór jest w czemś schowany i począł narzekać:

— A może boru już niema za tą płachtą! Wielka byłaby szkoda, bo piękniejszy jest, niż ogród przy chacie. Pójdę zobaczyć.

I pobiegł co tchu, a przez drogę rosy mu liczko umyły, a wiatr na niem rumieńce rozdmuchał, a słońce w oczkach jego się przejrzało, niby w krynicy błękitnej, ciemnej na dnie — i drogę przed nim wyłocilo — drogę ku mgłom wiodącą — do boru.

Było słońce to nisko, jakby po ziemi toczyć się miało, i chłopiec przeciw niemu biegnąc, oczu nie mrużył, a w źrenicę słoneczną

spoglądał prosto — w źrenicę złotą, co przez mgły różowe migotała. I znowu narzekał przed sobą:

— A może ono dziś w górę nie polecil Wielka byłaby szkoda, bo w górze ma jasność ogromną, aż mi oczy od niej ślepną, a przed oczami kręgi latają.

Zdaleka bór zapachniał i chłody wilgotne przeciw chłopcu słał, by mu czoło uznozione otarły. A słońce pękiem strzał złotych rozdarło ptachy mgliste, wiszące na drzewach.

Weszło chłopię rozradowane pod sklepienia, ze snu jeszcze nieruchome i ciche, a w cichości łyzy roniące brylantowe. Pod nogi mu łyzy te spadały, po mchach i trawach się rozsypywały — po roślinkach snem stulonych. Jedna z wysoka upadła, pod listek się zatoczyła i zabłysła krwawo na jagodzie wielkiej, czerwonej.

Zerwał chłopiec jagodę i cieszył się, że wielka, a potem, idąc, za małemi już się nie rozglądał, tylko wielkich wypatrywał, na których iskrzyły się rosy brylantowe. Takie gęsto nie rosły, więc odchodził coraz dalej i dalej, aż bór go otoczył ze stron wszystkich — bór, co dla chłopca małego był niby świat niezmierzony, niekończący się.

Lęku jednak nie czuł, bo oto słońce nie po ziemi się toczyło, ale nad nim pływało, w głębi bezchmurnej i między szczytami drzew przepływając, śledziło go okiem wielkiem, coraz goręcej i jaśniej płonącym.

Ze spojrzeń tych upał spływał i falą ciężką nad lasem się przelewał. A wiatr kędyś w jar

daleki zapadł, tylko wietrzyki małe chichotały, czepiając się gałązek wysokich. Sosny stały nieruchome, dech w sobie zaparłszy, a paprocie żółknące trzymały nad ziemią zasłonę z liści szerokich utkaną, wzorzystą. Pod nią ziemia chłodem oddychała.

Szedł chłopiec po wstędze zielonej, między paprocią się snującej i leszczyną rozłożystą, szedł i wypatrywał, które sosny wyżej sięgają, a przed najwyższą zatrzymał się i wzrok na jej szczycie wieszając, myślał:

— Gdy będzie południe, zobaczą słońce na wierzchu tej sosny. Ono na najwyższej odpoczywa.

Przyległ w mchu niedaleko drzewa i czekał, rychło-li słońce tam na szczycie siądzie. Wtem posłyszał szmery jakieś, napływające do lasu, a niebawem zobaczył gromadę ptaków różnych, które zlatywały z wielu stron. Rozsiadły ptaki po drzewach, porywając się co chwila do lotu, krzycząc i nawołując się. Niepokojne były, trwożne.

Patrzył chłopiec w górę, szukając, coby je tak trwożyło, i zdumiał się wielce, bo oto z tej głębi, gdzie słońce samo jedno pływało, spadał ptak duży — na bór spadał z błękitów.

Ogromnym wydał mu się ptak ten na niebie i wspaniałym, gdy tak od słońca spadał, rozpostarłszy wielkie skrzydła.

Rozsypała się rzesza ptaków drobnych, pierzchając przed tym wielkim, i zebrała się w innej stronie, a gdy był nisko i nad borem leciał tak wolno i równo, jakby płynął, skrzydłem, niby wiosłem, zawadzając o szczyty so-

sen, one wróciły i leciały za nim z krzykiem, ale nie odpowiadał im, tylko czasem większe fale powietrza skrzydłami zagarniał lub mocniej o gałęzie uderzał, sypiąc z nich igły zdarte.

Sledził chłopiec lot ptaka i myślał, że pewnie na tej sośnie spocznie, gdzie słońce siadało. A on i jej szczyt tracił i minął; wdół opadł, ku sośnie leciał nędznej, niskiej, obumarłej pod cieniem, którym ją wysokie siostrzyce nakryły. Na wierzchołku suchym stanął, szponami go objąwszy, skrzydła złożył i tak nieruchomy pozostał, jakby do drzewa przyrósł i zamarł.

Nad nim w kole stały szczyty drzew wielkich i, chwając się, pokłon oddawały, czy jemu, czy tej z sosen najlichszej, a przezeń uczczonej.

I latały nad nim ptaki małe, ale umęczyły się krzykiem i rozpierzchły, a w borze znów ucichło.

Patrzył chłopiec na ptaka, napatrzeć się nie mogąc i rozmyślając:

— Niema wspanialszego! Co on widział, ten ptak? Może słońce zbliśka, może cały świat. A teraz nikogo i nic już nie zobaczy, bo oślepił pewnie od jasności.

Wtem zbliżył się człowiek jakiś, a ujrawszy ptaka, stanął, przyjrzał mu się i ręką zamachnął, aby go zgonić i w locie zabić, bo wstyd mu było strzelać do siedzącego nisko.

Ale ten nie widział go i nie słyszał.

Wymierzył człowiek doń i strzelił, a zatrwożył się bardzo w tej chwili, bo nie ptak śmiercią uderzony, zajęczał, ale pierś ludzka, gdzieś obok, jęknęła żałośnie.

Ptak skrzydła rozpostarł do połowy, jakby do lotu zerwać się miał, ale pochylił się tylko raz i drugi, niby pokłon oddając słońcu i głębi błękitnej, gorejącej, skąd zleciał; pochylił się raz jeszcze, niby pokłon składając przed bo-rem, który go przyjął, a potem zawisł na wierzchołku, albowiem szpony ostre wpiły się weń mocno i nie puszczały. Odłamał się suchy wierzch, z chrzęstem posypały się gałęzie łamane i ptak spadł. A nie miał już wzlecieć w błękitny słoneczny.

Nad nim chłopiec mały jęczał, złorzecząc człowiekowi, który tu przyszedł.

— Czemuś to uczynił? Czy znasz tego ptaka?

Odrzekł:

— Nie znam, ale że był wielki, więc szkodę mógł czynić, dlatego go zabił.

Zatrwożył się chłopiec, spoglądając w oczy tego człowieka i na ręce jego, z których wypadła śmierć dla wielkiego ptaka, i nie mówił już nic, tylko odbiegł z tego miejsca.

A gdy znów stanął pod sosną najwyższą, zatrzymał się i myślał:

— Czemu ptak na tem drzewie nie usiadł, byłby uszedł śmierci!

Wtem zbliżyli się ludzie obcy i mówili między sobą, wskazując na drzewo:

— To zetniemy, bo najwyższe.

Przeraził się chłopiec niezmiernie i zaczął uciekać, ile tchu mu starczyło. A lęk drogę przed nim wydłużał, a smutek twarz mu wybielił, a łzy mu żreniczki mroczyły.

Wypadł z lasu i rozejrzał się po niebie, ale

nigdzie nie mógł słońca dostrzec. Za siebie spojrzął, a ono na ziemię spadło i toczyło się krwawe, omglone, bez jasności, aż zatoczyło się za czarną krawędź ziemi.

Zapłakał chłopiec, wołając:

— Teraz słońce nie pokaże się wcale, bo widziało dziś ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

Rozełkany, żałosny wrócił do domu.

Usnął bór wielki. Mgły nocy szare go zakryły.

Usnęło chłopię małe. Żal odeń nie odlatywał i na ustach sennych wciąż jedną skargę budził:

— Widziałem ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

LIST DO ANTOSIA

(Urywek autobiograficzny)

Kochany Antosiu! Julcia i Oleś natarczywie domagają się Twego przyjazdu. Jestem o nie zazdrosny. Ten „dobry wujaszek“, „pocziwy wujaszek“ lub „ten wujaszek, co tak włosów nie ma, jak i tata“ — jak czasem niedyskretnie Julcia się wystawia — za często jakoś bywa na ich ustach. Pamiętaj sobie, bratku, bywałeś ty ongi zazdrosnym o różne Twoje Małgorzatki i umiałeś bronić do nich przystępu, a dziś ja nie lubię, by ktoś wiele miejsca zabierał w sercach moich dzieci. Tam przystępu nie tamuję jednemu tylko — Bogu. No, ale i dla zacnych i podstarzałych safandulów, jak Ty, mam wyrozumienia nieco. Słowem — przyjeżdż. Oleś dotąd przypomina i powtarza Twoje paradne historje o „Żydkach z Cytadeli“ *) i dotąd nie może sobie darować, że nie

*) Kolega mój szkolny z gimnazjum lubelskiego i trochę — krewniak, N. N., wojskowy ongi z armji rosyjskiej, później polskiej, a dziś — inwalidzkiej, w pamiętnym wrześniu 1920 r., pełnił służbę w Cytadeli i ma w pamięci pełno zajmujących szczegółów o zachowaniu się niektórych Żydów w te dni, gdy to tłuszcza mongolsko-moskiewska parła na Warszawę.

przymierzył Twojego kapitańskiego kaszkietu i nie próbował wywijać Twoim pałaszem. Czy to aby prawdziwy ten pałasz? Przepraszam Cię, nie podaję w wątpliwość rycerskiego Twego animuszu, który zawsze w Tobie dorównywał swym poziomem Twojej nadzwyczajnej ongi pochopności do przygód miłosnych, lecz znając Twe gołębie serce, przypuszczam, że do prawdziwej klingi kazałeś pewnie dorobić pałasz kauczukowy, by i wroga zbytnio nie ukrzywdzić. Ale — powtarzam — nie wątpię, że Twojej własnej piersi i głowy zawsze nastawisz tak chętnie i niefrasobliwie, jak ongi nastawiałeś swe nieopancerzone serce pod pociski i groty z ładnych ocząt!

A wiesz, jakiego figla wyplatała mi Julcia?! Wyciągnęła mi z biurka paczkę fotografii, przegląda je — i naraz mówi do matki: — „Mamo, jaki to ładny chłopiec!“ — Ze zgrozą odebrałem jej fotografię. Jest na niej dwu młodzieńców — jeden w wojskowym odzieniu dawnych „wolno-opredielajuszczich-sia“, drugi w studenckim mundurze — i stary jegomość z chudą, ascetyczną twarzą, o wysokim czole, łysawy, z brodą. Miły Boże, któż, znając ciebie, jakim dziś jesteś, powiedziałby na tego młodzieniaszka wojskowego, że to Ty i że to Tobie Julcia palnęła ów komplement! Julcia temu nie uwierzyła; tłumacz to sobie, jak chcesz — bo to i pochlebne i niepochlebne...

Odebrawszy jej fotografię, długo się przyglądałem rysom tych trzech osób — i hurmem nabiegły wspomnienia... Ten jegomość z ascetyczną twarzą... Wiesz, jak serdecznie kochałem

Twego ojca, a i on przecież mnie, gdym mego stracił, tak serdecznie przygarnął i między swoich synów wliczył. Nie mogłem się z nim spoufa- lić ze względu na różnicę wieku, alem jasno i wyraźnie wyczuwał głąb jego duszy — pol- ską, zącą i czystą, choć smutny nałóg zasnuł ją jakąś szarą powłoką. Pamiętasz, jak to raz matka Twoja wysłała nas na poszukiwanie jego? Znaleźliśmy Twojego ojca w starej dzielnicy miasta *) , w jakimś niesłychanie posępnym han- delku win. Był sam. Przed nim niedopita bu- telka i jakiś kanciasty, z zielonego szkła, obrzyd- liwy kieliszek. Siedział przy oknie, za którem widać było gładki i szary a wysoki mur, czy ścianę sąsiedniego domu. Ile on tu godzin już strawił, spoglądając pewnie wciąż na ten mur, taki gładki, bez okien i żadnego załomu i taki szary — jak beznadziejność! Patrząc na ten mur, istic więzienny, i snuć myśli, które ten wi- dok nasuwać mu musiał!... Z miłością i uszano- waniem patrzyłem na jego chudą, zbiedzoną twarz, a on wlepił we mnie gorejące wejrzenie ocz zaczerwienionych i szeroko otwartych:

— A co, smyki, — tak nas przywitał — zło- wiliście mnie, hę? Zwęszyliście, hę? jak pieski starego zwierza! Któż to was na moje ślady na- prowadził?

Ale nie był rozgniewany, dał się nam wy- ścisnąć i wycalować; obsiedliśmy go z obu stron i poczęli namawiać na przechadzkę za miasto. Nabrał humoru, ale nie prędko jeszcze dał się ruszyć z miejsca.

*) Mowa — o Lublinie.

— Dobrze, dobrze — mówił — pójdziemy. Na Kalinowszczyznę, he? Łakami przejdziemy, he? Śliczny tam kościółek i dziewczęta kalinowskie, jak kaliny, co? Bardzo dobrze. Capnęliście mnie. Ale pamiętajcie, do tego tu miejsca droga ma wam zarosnąć! Raz na zawsze.

Znów miał oczy wlepione we mnie.

— Rozumiesz? Że wyście mnie przyłapali, to nic, bylebym ja was nigdy nie przyłapał.

Sięgnął po butelkę, popatrzył na nią, zakorkował starannie korkiem, który obok leżał, i odstawił wraz z kieliszkiem dalej do ściany.

— Jak to było ze starym Abrahamem? — mówił dalej. — Zaraz sobie przypomnę, a tymczasem słuchaj-no, ty poeto — zwrócił się do mnie — nie pij, nie pij! Pamiętaj! Komu wolno, to wolno; poecie nie. Ten mój smyk, no, niech tam. Urwipoleć! Trzeźwy czy pijany, drogi do fartuszka nie zmyli; jedna, druga uwiąże go sobie na tasiemkę i będzie go miała, póki tasiemka strzyma. Ale, przytem i zatem, to i jemu zabraniam, słyszysz? zabraniam. Co zaś do ciebie, to ho, ho! Tylko mi spróbuj, tylko mi się waź!... Jak to było ze starym Abrahamem? Przypomnę sobie, a tymczasem ty pamiętaj, że gdy poezja się z wódką uściśnie, to to uścisk straszny. Na śmierć. Na śmierć niezaszczytną, brzydka, zawstydzającą, tak!

Milczał chwilę, a myśmy patrzyli mu w oczy przyjaźnie, radzi go słuchać.

— Abraham tak uczynił — odezwał się znów, a uśmiech mu usta okolił — naznosił dREW, uszykował stos, położył na nim związanego synusia, pamiętacie? ukochanego synusia!

I już wyjął zapalki... Słuchajcie, gdy umrę, będę miał was na oku i gdy was przyłapię w tem tu miejscu lub podobnem, a postrzegę, że dla kieliszka albo fartuszka zapominacie o rzeczach ważnych, tedy nie spodziejecie się, jak spuszczę na was ogień i sprawię wam taką łaźnię, że nie będziecie wiedzieli, którędy zmykać!

Ręka jego jakoś machinalnie posunęła się do butelki i cofnęła się.

— Tak, tak. Bo ja co innego i wy co innego. Młodzi to wcale co innego. To — nadzieja Boga...

— ...I Polski — dodał po chwili. Wsparł łokieć na stoliku, głowę na dłoni i siedział tak długą chwilę, a w tym czasie powieki mu się przymknęły nad temi gorejącemi, zaczerwienionemi oczami, których spojrzenie sprawiało na mnie jakieś ciężkie wrażenie. Przyglądałem się Twemu ojcu w tej chwili bardzo uważnie i pierwszy to raz w życiu zdumiała mnie zmiana, jaka zachodzi w wyrazie twarzy, gdy przysłonić w niej ogniska ocz i gdy twarz może mówić tylko zgaszoną swą powierzchnią. Tam, gdzie błędnie jakoś czerwieniały te ogniska, teraz na twarzy jego leżał cień głębokiej melancholji, a wkoło ust wystąpiła jakaś gorzkawość bolesna. Miła mi była ta głowa i twarz. Malczewskiby ją zapamiętał. Mówią, iż oczy — to okna duszy. Nie może być bardziej fałszywej opinji — o ile nie mamy na myśli dzieci. Z oczów wiele rzeczy wygląda, ale prawie nic z duszy prawdziwej, prawie nic z jej głębi i nic zgoła z tych jej pierwocin, które z sobą na świat przyniosła; wygląda z nich dusza nawiana, dusza przygodna

i przybłąkana, dusza kłamana, kłamliwa i kłamiąca, dusza doświadczenia ludzkiego i kłamstwa ludzkiego, dusza fałszywej mądrości, dusza obyta z kinematografem i igraszką cieni, dusza, która oderwała się już od prawdy i zapomniała o rzeczywistości. Lecz zamknijcie oczy, a wtedy wasza twarz zgaszona, lub uspiona, lub martwa, po zgonie — poczyni nadzwyczajne rewelacje, od których osłupieć można; wyjawi tajemnice, starannie ukryte; roztworzy głąb i przemówi prawdą — prawdą... I tą, od której oderwaliście się, i tą, której wyparliście się, i tą, którą radziłybyście ukryć, i tą, która w onieśmieniu i wstydlivosti łka gdzieś w waszej głębi, pod waszą zewnętrzną, nawianą, kłamliwą i sfałszowaną duszą! — A co się tyczy dzieci, to tyle powiem — że gdy z otwartych ich oczu wygląda niewinność, zwykła niewinność istoty ludzkiej, niedotkniętej zepsuciem i kłamstwem, to na uspionych ich twarzach występuje już zgoła co innego. Prostu przychodzi do nich poufale Bóg i kładzie im na twarze swój odblask. Pamiętam — kiedyś, gdy byłem w odwiedzinach u mojej siostry, wieczorem stanąłem wraz z nią przy łóżku, na którym spała jej pięcioletnia córeczka. Mówię Ci, że mógłbym zapomnieć o świecie i sobie i zamrzeć w kontemplacji. Uspiona twarz tego dziecka to było coś, co już nie daje się ująć słowem, chyba muzyką, i to nie naszą, lecz — przyrody, gędźbą fali wodnej, łagodnie w czas bezwietrzny szemrzącej, muzyką nocnej ciszy majowej, szeptaniem rozkwitłych w bieli sadów wiśniowych. O takim cudzie, jak uspione, Bogiem pachnące maleństwo mogą

opowiedzieć tylko inne cuda, w których płomieni się i wstydliwie pachnie niewinność. Artysta nie zdoła, chyba, że — bezgrzeszny.

Twarz Twojego ojca, gdy tak siedział z przymkniętymi oczami, pachniała mi umęczeniem więzionych i zakutych w dyby i łańcuchy...

Gdy podniósł zaognione powieki, wstrząsnął się, wstał zaraz i zaraz wyszliśmy.

Pamiętasz? Wyszliśmy i po niedługiej chwili już wszystek brud życia odszedł, a my — szliśmy łąkami. Chłopie kochany, czy Ty je pamiętasz? Czy są jeszcze gdzie na świecie takie łąki — i czy to łąki były, czy też nasze dusze swym majem rozestały się po tych kobiercach ziemi i błękitach nieba i uszły w te wonie jędrne i rozśpiewały się po skowrończemu? Tyś pono oglądał się za jakąś kaliną i szukał jej ocząt, ale my dwaj — stary jegomość z pociągłą, ascetyczną twarzą i rozognionymi oczami, którego fotografia leży teraz tu przede mną — i ja zapatrzyliśmy się w oczy przyrody i w ich czarze zatonęliśmy bez pamięci. Co za czar, co za urok! Tam, w mieście — Polska sposepniała, chmurna, splakana zdawało się, iż wzdryga się i wstrząsa od dotknięcia kajdan, sprawiającego jej w każdym nerwie udrukę i obrzydzenie, jak od dotknięcia splotów brudnego gadu. Tu — śmiała się wolnością. Zbrodniarze wszystko zakuli, ale nie zakuli nam łąk i majów i nieba i skowronków... No — u wielu i duszy!

Zkolei począłem się przyglądać Twojemu konterfektowi... Rozumiesz, iż na pierwszym miejscu winienem był postawić — i już to tak jakoś samo w toku moich wspomnień nastąpiło — Twojego ojca, pokolenie ustępujące, po którym wzięliśmy kajdany na rękach i wolność w duszy i ich błogosławieństwa i ich zaklęcia — to groźne „Memento!“ z przestrogą, że oni sami na stos nas wprowadzą i ogniem z niebios go zapalą, jeśli — zapomnimy...

Nie przypominam sobie dobrze, jakie to konjunktury życiowe wpędziły Cię w taką matnię, iż musiałeś przywdziać mundur moskiewskiego *wolno-opredielajuszczagosa*; zapewne podobne do tych, jakie nieco później — po tym okresie mojego życia, kiedy zdarzało mi się noclegów szukać między stosami desek nad Wisłą, a posilać się znalezionymi skórkami chleba — opięty mnie w mundur „sekretarza“ i „radcy kolegjalnego“.

Setny mój chłopcze! Długo przyglądałem się Twemu miłemu „buziakowi“. Już ci komplementy nie zaszkodzą, więc powiem — że do prawdy byłeś ślicznym chłopakiem. Julcia wczesnie ujawnia dobry gust, ale — niebezpieczny. Bo nie powiem, żebv było w Twych rysach co klasycznego, lecz właśnie ta śliczność niebezpieczna, ten djablik jakiś szelmowski, co tak wielce musiał niepokoić i kusić Małgorzatki. Pamiętasz, no — naturalnie, że pamiętasz — naszą podróż do Kijowa? Ów przedział. Wchodzi dama nie dość, iż młoda, powabna i elegancka, ale nadto jeszcze — tak się nam przynajmniej wydawało — posiadająca niesłycha-

nie „arystokratyczny” układ. Oczywiście, ustępujesz jej swego miejsca. Przedział potrochu się opróżnia i zostaje w nim trójka nas — z damą. Wyszedłem na korytarzyk — wagon był korytarzowy — dla zaczerpnięcia powietrza z otwartego okna; po niedługim czasie wracam: „arystokratyczna dama” *) siedzi u Ciebie na kolanach, jakkolwiek miejsca już wówczas nie było brak. Ale miary nie było memu zdumieniu, gdyście, wysiadłszy na jakiejś stacji rzekomo dla wypicia herbaty — już do wagonu nie wrócili. Przyjechałeś do Kijowa z dwudniowym opóźnieniem. Miałem poważne wątpliwości co do tego, czy nie minąłeś się z prawdą, kreśląc w urzędowym raporcie, iż przyczyną tego opóźnienia było „gwałtowne zaziębienie z silnym bólem głowy i znacznem podniesieniem temperatury ciała”.

Z Twoim miłym konterfektem wiązą się moje wspomnienia z owego rocznego, czy półtorarocznego okresu, kiedy to po awanturach w Instytucie Puławskim i opuszczeniu przez nas Instytutu tego, przyłgnęliśmy na pewien czas do życia dość nieciekawej, prowincjonalnej cyganerji *). Pisałeś mi kiedyś, że te wspomnienia odnawiasz w pamięci bez wielkiego zapału i bez osobliwej przyjemności. No, widzisz — o tem mówić nam nie wypada; nie wypada krzywić się na wspomnienie starych miłostek pod pozostawieniem

*) Była to tylko żona jakiegoś prokuratora i „rzeczywistego radcy stanu”, który snąc pilnie śledząc zbrodniarzy, mało jej poświęcał uwagi.

*) W Lublinie.

rem, że były one zbyt pospolite, ani na wspomnienie brudnych knajp, w których noc się przesiadywało — bo każdy nam powie, że krzywimy się jedynie dlatego, że dziś te rzeczy — to już zielone dla nas winogrona. I nie spierałbym się o słuszność takiej uwagi. Zresztą byłoby to niewdzięcznością odwracać się od tych knajp, dlatego, że były zadymione, boć nietylko dymy się po nich snuły, ale — i marzenia; i niegodziwością byłoby odwracać się od tych trzpiotek, które oddawały nam swe uśmiechy i swą młodą różowość — odwracać się dlatego, że to były kelnerki lub nawet uliczne dziewczęta. Zresztą było tam jednak coś, czego za nic nie wyrzekłbym się. Może zadymiona, może z pomiętym fartuszkiem, ale była — poezja... Czasem, w takim powrocie do domu nad ranem, gdy ulice dopiero zaczynały nasiąkać brzaskiem, bywało coś niezrównanie ładnego. Dziwna rzecz, że w uśpieniu wszystko ma miłszy wyraz, niż gdy czuwa. Miasto, które za dnia budziło we mnie odrazę, nad ranem, gdy jeszcze nie ocknęło się ze snu, miało w sobie coś z dziecka uśpionego — i chętnie pocałowałoby się je. A taka dzielnica żydowska! Coś potwornie odrażającego, a tak w ów moment brzasku, jeszcze uśpionego, cudowna, że — godzinami by ją pieścić i okiem i sercem. A gdy kto o takiej godzinie rzucił hasło: „Za miasto!” — to przecież poczynał się korowód cudów, wręcz cudów... Te wschody słońca, oglądane okiem młodości, były to modlitwy czarów i zaklętych uroków i płonących serc. Były to momenty powtarzania przysiąg, nietylko miłosnych...

Pamiętasz tę dziewczynę z Lubartowa, którąśmy w noc majową nad ranem wyzwolili z ciupy policyjnej? Cała epopea — z wyłamywaniem jakiegoś okna, z upojeniem jednego strażnika i stoczeniem bezkrwawej walki z drugim... Dwie godziny biegaliśmy jak dzieci — od ogrodu do ogrodu; nie obyło się bez przesadzania parkanów i rabowania cudzych kwiatów. Jej uciecha była niezrównana, ale w obawie złych dla siebie skutków tego żartu, prosiła, byśmy ją odprowadzili, skądśmy ją wzięli. Towarzyszyliśmy jej tedy zpowrotem do aresztu, niosąc olbrzymie naręcze bzu, którym obdarzeni zostali i strażnicy i aresztantki. Wyciągnąłeś z kieszeni butelczynę i — przepiliśmy do poturbowanego strażnika. Ależ ona — ona jaka była szczęśliwa przez te dwie godziny perlającej się majem młodej uciechy!... Czy kto kiedy goręcej — z taką niepohamowaną wdzięcznością przyłgnał usta do naszych ust, jak ta dziewczyna, gdy przy pożegnaniu kolejno jednemu i drugiemu rzucała się na szyję!

Strażnicy, spluwając po wódce i śmiejąc się, mówili: „Nu, sława Bogu, sława Bogu — wsio błahopółuczno, a to my już mieli zdać raport, ale powiadamy: trzeba poczekać, sumienie ich ruszy i odprowadzą. Sława Bogu”. A Twój ojciec, gdyśmy mu opowiedzieli tę przygodę, rzekł: „To było niezłe! Dziękowała — mówicie, hę? Cieszyła się, hę? Po parkanach fruwała, co? Jak ptaszek! i aż wyczałowała was za tę godzinę, czy dwie swobody. Pomyślcie-no, jakby dziękowała i jaki pocałunekby dała Polska

tym zuchom, coby wyłamali jej kraty i dali jej odetchnąć majem wolności!"

Z tych to czasów zachowałem w pamięci jeden szczegół, drobny — ale nieraz go z zajęciem rozważałem. Pamiętasz *Czarnulkę*? W jej dziewczęcej niepowszedniej urodzie było to, co i w Twojej — ów nieszczęsny djablik. Jej oczy — dwie śliczności niepokojące i napastnicze, czarujące lub złowróżbne — sprawiały takie wrażenie, że — nie można było długo w nie patrzeć. Albo zdobyć je — albo zmykać od nich. Ten jej djablik tyleż lub więcej jeszcze niż nas — dręczył ją samą, wstrząsał nią, miotał się i zrywał, gdy chciała być cnotliwą choćby przez jeden dzień. Cyniczną była nad miarę. Była ofiarą takich zapewne, jak my, nicponiów, ale przyszedł i dla niej czas odwetu, poczęła z kolei i ona zbierać swe ofiary. A jednak — jak szlachetnie odpowiedziała owemu zacząpanemu w niej Michasiowi na jego propozycję małżeństwa: „Jestem ci życzliwa, więc nie mogę wyjść za ciebie!” Kiedyś, w licznym naszym towarzystwie, w jakiejś knajpce, już nad ranem — usnęła, wsparłszy głowę na twardej krawędzi kanapy. Zrazu był mi widoczny tylko profil jej twarzy, ale gdy we śnie poprawiła pozycję głowy, światło kinkietu oblało całą twarz. Zdrętwiałem. To miałyby być *Czarnulka*? Ależ to było marzenie o Madonnie, przedziwna nieskalaność; wkoło jej ust osiadła niezrównana słodycz i czystość dziecięca. Co za skarby mieściła jej dusza! Chciało się zerwać i krzyczeć: „Co tu się wyrabia, przecież to jakieś zbrodni potwornej dokonano na tem stwo-

rzeniu!" Tak, tak. Były w niej dwie dusze — prawdziwa wypłynęła teraz w śnie, a sfałszowana chychotała cynicznie za dnia. I — że tak w istocie było i że te dwie dusze nie mogły się z sobą zjednać, najlepszy dowód jest ten, iż pojednał je dopiero — jak Ci wiadomo — staw na Czechówce, pod miastem, gdzie się utopiła...

I znów oto sięgnąłem po tę samą fotografię... Był tam przecież, obok Twego ojca i Ciebie, jeszcze jeden osobnik, młodzieniec w studenckim mundurze. Ale gdy Wasze twarze mówiły, mówiły dużo i otwarcie, mówiły wszystko o sobie, jego twarz milczała — zasepiona i zamknięta. Im uparciej się jej przyglądałem, tem szczerzej się zamykała, a wreszcie zaczęła poprostu uciekać, rozplywać się, znikać. Wtedy przyknałem oczy i próbowałem wywołać tę twarz wzrokiem myśli. Ale i to mi się nie udało. Zamiast twarzy i człowieka w osobie jakiejś — widziałem mgławicę szarą i płynącą, jak chmura. Czasem roztwierała się, niby rozdarła i wtedy gdzieś w głębi ukazywały mi się długie korowody przeżyć, znanych mi, aż nadto dobrze znanych; potem się zamykała i znów płynęła — szara, milcząca, póki znów się gdzieś nie rozdarła i nie odsłoniła nowej serji obrazów i przeżyć znanych mi, aż nadto dobrze znanych! Zrozumiałem, że są — wieczne. Ta twarz, co uciekała z fotografii, gdym się jej przyglądał — już w istocie przeminęła, i ja, co ongi miałem tę twarz — przeminę, a te obrazy i przeżycia zo-

staną i będą płynęły taką mgławicą szarą, milczącą i czasem roztwierającą swe głębież Przed kim? Nie wiem. Może kiedyś mój syn poczuje się osamotniony i zaduma się i będzie przywoływał kogo do siebie, wtedy przyplynie do niego ta chmura i otworzy przed nim swe wnętrze. I utuli go — gdyby cierpiał. I gdyby córka moja wołała — przyplynie, i gdyby ktokolwiek wołał tak znękany — jak ja bywałem — przyplynie... Męczącym było moje życie, ale to pewnie dla mego i może jeszcze czyjegoś pożytku.

„Kochany mój! Skorom się już tyle z Tobą rozgadał, opowiem Ci dwa drobne zdarzenia z mego życia, z okresu, kiedy już straciliśmy się z oczu. Ciebie лихо poniosło — dokąd to? już nie pamiętam, czy nie do Czelabińska aż? Ja zaś osiadłem w Warszawie, poślubiwszy uczciwą i może nawet urodziwą, ale bezposadną... literaturę. Oba poniżej opowiedziane zdarzenia zaszły właśnie w tym czasie, kiedy to jeszcze się nie zdecydowałem na karierę „radców kolegjalnych“, a już zdążyłem zmiarkować, że chleb i kąt na mieszkanie należą do potrzeb nader istotnych.

Owóż — pierwsze zdarzenie... Pewnego dnia znalazłem się w kłopotcie, gdzie się podzieję za nadejściem nocy. Zadłużyłem się u ludzi ubogich, u których mieszkałem, że zaś trafiał się im lokator nieco bardziej solidny, o czym wspomnieli mi zresztą bardzo delikatnie, tedy rankiem tego dnia zniosłem manatki swe do stróża i zapowiedziałem mu, że wieczorem przyjdę po nie.

Stróż był domyślny i pocziwy. Zamedyto-

wał się jakoś, rozglądał się po swej izdebce, tarł łysinę — wreszcie powiada:

— Pomyślałem sobie, czyby pan nie mógł tu nocowywać. Ale gdy dzieciaki pokładą się na noc na podłodze, to dalibóg niema gdzie stąpnąć. Niema gdzie stąpnąć...

Podziękowałem mu i zapewniłem, że do wieczora znajdę sobie locum. Szło tylko o to, żeby narazie gdzieś się przekołatać, zanim — napły- nie jaka gotówka. Zaszedłem do kolegi, zacnego chłopca; trzebaż trafu, że akurat zjechali jego rodzice; pokoik szczupły — nie było o czym myśleć. Poszedłem do drugiego — też chłop setny, przyjacielski, ale, co prawda, w miesz- kaniu nigdym go jeszcze nie odwiedzał. Wcho- dzę; elegancja! Gdym się rozejrzał po tych gra- cikach, sprzączkach, fotelikach i dywanikach — zemknąłem po krótkiej chwili, nie powiedziaw- szy mu o właściwym celu mego przybycia. Było lato, dzień piękny — wydało mi się niedorzecz- nością poświęcać tyle czasu i zabiegów na wy- nalezienie noclegu. Poszedłem do Biblioteki, załatwiłem inne swe sprawy — lecz pod wie- czór znów wróciła przykra myśl. Przypomniała mi się pewna starowinka, praczka, która za lep- szych czasów opierała mnie; znałem i męża jej, wiedziałem, gdzie mieszkają; ruszyłem do nich. Mieszkali na Starem Mieście, w podniebnej fa- cjatce. Trzy piętra jako tako, ale wyżej nie były to już schody, lecz raczej jakaś spadzista dra- bina; dotarłem tam; było ciemno, zapaliłem za- pałkę, odnalazłem ich drzwi. Widniała na nich jakaś karta żółta i dziwnie obrzydliwa z napi- sem: „Tyfus. Nie wchodzić”. Byłem tak zde-

koncertowany, że, złącząc z tych spadzistości, o mały włos nie poleciałem krótszą drogą na sam dół; zdołałem się jednak gdzieś zatrzymać i zejść normalnie.

Stąd — pod wpływem najzupełniej niezrozumiałego dla mnie bodźca — udałem się ulicą Celną, schodkami — na Bugaj, dalej, przeszedłszy pod mostem, skierowałem się wybrzeżem w stronę Solca. Zabawne, iż szedłem, jak człowiek, wypełniający jakiś swój zamiar, plan, człowiek świadomy celu swej drogi, spraw i interesów, które ma w tem i tem miejscu załatwić. Ta okoliczność daje mi dziś nieco do myślenia. Z jakich podświadomych zakamarków duszy wyszedł ten szczególny impuls, mający wszelkie cechy kategorycznego wewnętrznego naku? Czy może istnieje jakaś atawistyczna skłonność do szukania schronienia nad brzegiem rzeki? Czy ongi wybrzeża rzek były poczytywane przez ludzi bezdomych za bezpieczniejsze od miejsc, oddalonych od wybrzeża? Nie wiem — jednak impuls taki w pewnych warunkach występuje i stawiam tu hipotezę, wyjaśniającą niektóre niedość wyraźnie umotywowane i prawie niepremedytowane samobójstwa. Los zawiązał komuś jakiś trudny do rozplątania węzełek, ktoś nie czuje pod sobą — jakby powiedzieć — pewnego, twardego gruntu życiowego; grunt ten zaczyna się pod nim uginać, załamywać jak lód, skutkiem czego psychika tego człowieka upodobnia się do psychiki człowieka bezdomego. I oto wtedy zjawia się ten szczególny, Bóg wie z jakiej zamierzchłej przeszłości idący impuls — by iść nad rzekę, na jej brzeg samotny, jak ongi

może szedł tam człowiek, poszukujący bezpieczniejszego nad inne schronienia. I zgryziony troską i skłopotany człek siada sobie nad wodą i wsłuchuje się w jej beztroski szmer, w jej plusk pieściwy i łagodny. Gdzieś tam za nim płaczą się węzły życiowe i rozlega się harmider trosk, zgryzot, zawodów, a tu — cisza, spokój, ukojenie i jakieś przycichłe, słodkie wołanie fali. Otóż — i samobójstwo bez premedytacji! Ale czyż to nawet jest samobójstwo? Urok cichej, smętnej pieśni wodnej jest tak nieprzeparty. Człowiek siedzi na brzegu; słucha, słucha; zgrzyt życia coraz bardziej się oddala, a plusk wody coraz to pieściwszy i słodszy. Zesuwa się — sam nie wie kiedy...

Myśli te nabiegły mi teraz, nie wówczas. Owego wieczoru — lubo nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mię tam sprowadziło — zachowywałem jednak zupełną równowagę duchową. Wybrzeże to nie było podobne do dzisiejszego. Czy pamiętasz te pustkowia trochę niesamowite, jednak dość malownicze? Około wylotu Tamki poczynały się składy drzewa, tarcic, belek. Ledwie rzucił na nie okiem, omal się nie roześmiałem z zadowolenia: byłoż się co kłopotać o nocleg! Co za powietrze — od rzeki, jaki namiot wspaniały będzie nad głową! A przytem — samotność, będąca poręczeniem bezpieczeństwa. Może tak samo rozumował jakiś odległy mój przodek!

Upatrzyłem sobie miejsce, wrażliem je sobie w pamięć — i Tamką wróciłem do miasta. Coś tam grosza kołatało się jeszcze w kieszeni. Poszedłem na herbatę i gazety. Było już koło

północy, kiedy po ucichłych ulicach zeszedłem w dół, nad rzekę; bez trudu odnalazłem moją kwaterę i z zadowoleniem rozciągnąłem się na deskach.

Cisza panowała doskonała. Nie wytrzymało jednak pół pacierza, gdy jak z pod ziemi wyrósł koło mnie jakiś osobnik. Jednocześnie — bliżej i dalej — za mną, koło mnie, bodaj czy nie pode mną poczęły się rozlegać głosy. Oto — masz samotność! Chryste! ilu tu było lokatorów! Czy nie mam racji, gdy dziś Ci mówię, że — przyciąga ludzi do takich miejsc jakiś potężny atawistyczny, podświadomy pęd — no, lub — składy desek!

Osobnik podszedł do mnie i wcale uprzejmie rzekł:

— Na deskach nie można. Jeśli chcesz nocować, musisz iść do dziury.

— Do jakiej dziury?

— Pokażę ci.

Oburzała mnie perspektywa poszukiwania innego noclegu, postanowiłem tedy zastosować się do okoliczności, które zresztą nie były tak dalece złowrogimi. Dziura nie była żadną dziurą, lecz wąskim przejściem pomiędzy stertami desek. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, dlaczego nie można spać na wierzchu, lecz koniecznie w takim ciasnym legowisku, wdałem się w rozmowę z osobnikiem. Powtórzę Ci otrzymane od niego informacje.

To miejsce wybrzeża stanowił hotel, posiadający klientelę stałą i przygodną. Policja tolerowała go tak, jak wszystkie inne punkty zboru podejrzanych ludzi, ponieważ istnienie i zna-

jomość tych punktów znakomicie jej ułatwia poszukiwanie osobników — poszukiwanych. Ale policja nie chce, aby ten hotel cieszył się jawnością. „Siedzicie tam sobie i spędzajcie czas jak chcecie, byleby was nie było widać i nie było was słycać, gdy przechodzi ktoś, nie należący do waszej kompanji. A jeśli kogo z was będzie widać, to go capniemy, nie czekając „obławy“, kiedy to zabieramy was wszystkich do badania w cyrkule“. Takie postawienie sprawy było racjonalne — przyznałem to.

— Bo to widzisz, — mówił osobnik, — przyjeżdżają do Warszawy czasem tacy, tacy...

— Turyści — odpowiedziałem.

— Oto to! Przyjedzie, panie, Anglik czy Francuz i nuż go ciekawość poniesie po nocy i zobaczy taki nocleg, a potem zacznie smarować, opowiadać... Policji dostałoby się...

— Racja!

Zaryzykowałem jeszcze pytanie, czy owego Anglika obdartoby tutaj, czy nie?

— Rozumie się żeby obdarto, jeśliby policji nie było wtedy widać. I tobie, kochanku, zdjętoby tę marynarczynę. Masz jeszcze niezgorszą. Ale masz też szczęście, że dzisiaj głównych majstrów niema. Trafiłeś na taką kompanję, że — pi! pi! Jest parę panienek; jest z niemi kilku jakichś gołowąsów — uczniaków, czy subjektów; jest jakaś porządna familja z dziećmi, którą wczoraj wyrzucono z mieszkania na bruk; jest Onufer z pod Bernardynów — znasz Onufera? Jest trzech, co wyszli z szynku i nie mogli trafić do domu, albo go wcale nie mają. Jest jakieś pokłócone małżeństwo; bili się tu, mało

się do wody nie pospychali; teraz on śpi na tamtym końcu, a ona na tym se rozmawia z jakimś żołdatem, czy urlopnikiem...

Wyobrażałem sobie ten nocleg nieco inaczej — z gwiazdami, ciszą, poezją pustkowia, miłym pluskiem fal. A tu przemówiła nędza, krzywda, ból upośledzeń i ran, których za dnia nie widać. Nie była ta noc miłą — ale bardzo pouczającą...

A oto — drugie drobne zdarzenie, które mi się trafiło jakoś wkrótce po tem pierwszym.

Wieczorem koło dziesiątej, w Alei Jerolimskiej, po lewej stronie, idąc ku Marszałkowskiej, w pobliżu skwerku, znajdującego się na rogu Nowego Świata, spotkałem dziewczynę o bardzo pociągającej twarzy. Marnie ubrana szła wolno, mocno zdaje się zmęczona. Oszacowałem ją jako uliczną Małgorzatkę, która już długi czas krąży po ulicy bez powodzenia w poszukiwaniu tego, czego zwykła poszukiwać. W tem mniemaniu ująłem ją poufale pod ramię i prosto z mostu powiedziałem, że należy się jej odpoczynek i że jest to godzina, w której nawet skromna wieczerza każdemu smakuje osobliwie. Popatrzyła na mnie z pomieszaniem, ale mnie nie odepchnęła, skutkiem czego jej pomieszanie złożyłem na karb nieobycia jeszcze ze swym zawodem. Pociągnąłem ją do ławeczki. Usiedliśmy. Przemawiałem do niej wesoło i po przyjacielsku, widząc, że jest jakaś nieswoja. Rozruszała się nieco. Wyjąłem swoją chudą portmonetkę i, śmiejąc się ze swych bogactw, odłożyłem tyle, ile potrzeba na zapłacenie pokoju w hotelu. Przeliczyłem resztę. Wy-

starczało na serdelki i bułki i coś nie coś — dla niej. Znow ująłem ją pod ramię. Zaczęła coś bąkać, wymawiać się, ale powiedziałem twar- do: „Chodź!” Poszła.

Za chwilę siedzieliśmy na twardej jakiejś kanapie, w „numerze”, i z apetytem ćwiczyli- śmy serdelki, a w trakcie tego ona opowiadała mi o sobie. Pojmujesz, że słuchałem jej z tym pobłażliwym sceptycyzmem, z jakim zwykliśmy byli z Tobą słuchać opowiadań tych dziewczyn, umiejących tak mistrzowsko zmyślać różne hi- storje celem dowiedzenia, że wcale nie są win- ne temu, iż się źle prowadzą.

Opowiadała tak:

„Mam ojca, a od roku — i macochę. Od pierwszego dnia widziałam, że z nią nie wy- żyję. Jestem prasowaczką. Póki się ojciec nie ożenił, byłem w pralni za przychodnią. Po jego ożenieniu wynalazłam sobie pralniczkę, która wzięła mnie do siebie ze wszystkiem, to jest — i na mieszkanie. Było mi bardzo dobrze. Przed dwoma tygodniami moja gospodyni umarła. Pralnię objęła jej siostra, mająca dużą rodzi- nę i — pierwsza rzecz — kazała mi się wy- nieść, bo nie było dla mnie miejsca. Wróciłam więc do ojca; chciałam pobyc parę dni, póki nie znajdę znow podobnego miejsca, jak po- przednie. Macocha rada była z okazji, by mi dokuczyć. Przyczepiała się o byle co i gadała takie rzeczy, że uszy wędną, gdy słuchać; że ja gram komedję, że chcę siedzieć ojcu na kar- ku, że pralnia — to zawracanie głowy, że po- winnam wieczorem iść pospacerować po ulicy...

— A cóż twój ojciec na to?

— Gdy macocha chce się ze mną kłócić, to stawia przed ojcem butelkę z wódką i wtedy on się do niczego nie wtrąca. Dziś rano naga-dała mi takich rzeczy, że zabrałam swoje ma-natki pod pachę — już miałam tego za wiele...

— I zaniósłś do stróża? — przerwałem.

— Nie. Poszłam na Wolę. Niedaleko ruskie-go cmentarza. Mieszka tam moja siostra cio-teczna, zamężna. Niezła kobiecina...

— Tak, tak, — przerwałem znowu, — ale na drzwiach była przybita żółta, obrzydliwa kartka z napisem: „Tyfus. Nie wchodzić!”?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Żaden tyfus — tylko ona pokłóciła się tego dnia z mężem. Przyjęła moje zawiniątko i powiedziała mi w sieni: „Nie mogę cię wziąć dziś do siebie, bo mam piekło w domu, ale idź sobie na Solec pod ten i ten numer, tam miesz-kają moi kumostwo; bardzo dobrzy ludzie; po-wiesz im, że to ja cię przysłałam. Przenocują cię, a jutro się tu dowiesz”.

Widzisz, mój kochany, jak to dobrze prze-żyć coś podobnego samemu. Mój „pobłażliwy sceptycyzm” pierzchł i wiedziałem, że opowia-da mi najszczerzą prawdę. Poszła z Woli na kraniec Solca. Kumostwo „akurat” wyprowa-dzili się niewiadomo dokąd. W ich dawnym mieszkaniu zastała jakąś starą kobietę i małą dziewczynkę. Stara, widząc jej znużenie, ka-zała jej usiąść i poczęła dopytywać, co ją spro-wadziło do owych kumostwa; rozgadały się i wkońcu stara powiada: „To nocuj, kochanko, u nas. Pomieścimy się. Trzebaż ratować jedni drugich”. Wtedy mała dziewczynka wtrąciła:

„A Sylwek, babciu?” Stara nieco pomyślała. „Ale co też gadasz. Przecie Sylwek dziś na noc ma robić. Nie przyjdzie”. Otóż właśnie — przy-szedł. A był to młodzian przedsiębiorczy i, nie zważając na obecność babki i siostrzyczki, tak ostro się zabrał do przygodnej tej lokatorki, iż musiała uciekać.

— A nie ciągnęło cię nad Wisłę? Nie dostrzegłaś tam składów desek?

— Tam wszędzie było tak ciemno i tak strasznie. Leciałam co tchu w górę, do miasta, gdzie widniej.

Historja była skończona i wieczerza również. Dziewczynie kleiły się oczy. Powiadam: „Rozbierz się i kładź się spać”. Opuściła jakoś głowę i pyta zcicha: „A pan gdzie będzie spał?” Popatrzyłem jej w oczy. Była tak ładna, tak ładna. Ująłem jej rękę. W oczach jej zadrżało coś łzawego; wydobyla swoje ręce z moich i zaczęła coś mówić:

— Ja myślałam, że pan...

Urwała.

— Coś myślała?

Odsunąłem się od niej i rzekłem twardo, jak wtedy na ulicy: „Idź, rozbieraj się i kładź się do łóżka. Ja się stąd nie ruszę”. Wstała i skierowała się do łóżka.

Patrzałem na nią niedobrem okiem i mówiłem sam do siebie: „Czego kłamiesz! Właśnie, że ruszysz się. Gdy tylko zrzuci stanik, wstaniesz i zgasisz światło. Co tu rządzi? Jedno tylko — prawo życia, prawo młodości, prawo młodej krwi. Czyż to nie jesteśmy parą nędzarczy, którym wszystkie radości zamknięto. I —

tę przed sobą zamknąć mamy?" Zapewne Sylwek nie inaczej rozumował.

Dziewczyna podeszła do łóżka, stanęła przed niem i jakoś się namyślała. Podniosła rękę do bluzki i odpięła ją przy szyi, lecz coś jakby sobie przypomniwała. Uklękła i zaczęła mówić pa-cierz pół-szeptem.

Nigdy niczyja ręka nie dotknęła zelżywie mojej twarzy, a w owej chwili ktoś wyciął mi policzek. Straszny policzek! Krwawy policzek! Czyż to czasem nie było ziszczenie przestrogi, jaką mi uczynił Twój ojciec, który już od dwu lat „miał oko” na nas zza grobu! Od tej chwili wiedziałem, co uczuwa człowiek zelżywie shańbiony. Uczuwa, jak czyjaś żelazna pięść wpycha mu się do piersi, ujmuje twardemi palcami jego serce i ścisza je, póki nie przestanie drgać. Hańba — to śmierć. Mówią — pojedynek, zmycie krwią... Gdy mnie zelżą niewinnie — tedy niema hańby; gdy winnie — tedy to ja sam się zelżyłem. Samobójstwo rozumiem, pojedyunku — nie. Człowiek jest czemś tak dostojnem, że nie może go dosięgnąć zniewaga od nikogo, prócz niego samego.

Okno było otwarte; noc lipcowa, ciepła, mnie zaś było tak, jakby z tego okna powiało grudniem. Zaszczekałem zębami.

Dziewczyna powstała z klęczek i znów ręka jej podniosła się do guziczków bluzki, jakoś wahajaco.

Z trudnością mogłem dobyć głosu.

— Odwróć się — rzekłem.

— Dziękuję. Dobranoc — odpowiedziała.

Wtuliłem się w róg kanapy, odwróciwszy

się. Po niedługiej chwili posłyszałem jej równy, spokojny oddech. Gdzieś, za ścianą, słychać było chychot i obrzydliwe gruchania jakiejś innej pary.

Krótką to była noc, ale znów pouczająca — więcej nawet, niż tamta. Tamta pouczyła mnie o ludziach, ta — o mnie samym i Bogu.

O świcie chłodem pociągnęło z okna. Przeszedłem się parę razy po pokoju i stanąłem przy łóżku, nad nią. Uśpiona była głęboko. Przyglądając się jej twarzy, dostrzegłem w niej to coś dziwnego, taki sam odblask szczególny, jaki kiedyś widziałem na twarzy śpiącej małej dziewczynki. Mrowie przeszło po mnie. Podszedłem do okna i na jego framudze położyłem znękaną głowę. Więc kimże jabym się stał, gdyby nie ten jej pacierz? Czy jest słowo, któreby objęło podłość, od której byłem o włos ledwie? Zdrętwiałymi ustami szeptałem: „Dziękuję Ci, Boże!” Ale mi te słowa nie przynosiły ulgi. Ktoś mnie uratował, ale wszak ja sam nie byłem zdolny się uratować. Wróciłem na twardą kanapę, usiadłem już zupełnie bezmyślny i zgnębiony.

Po jakimś czasie usnąłem. Obudził mnie jej wesoły śmiech. Siedziała przy mnie już ubrana i trzymała mnie za rękę. Jej śmiech, a jeszcze bardziej ta nieśmiała, wstydliva wdzięczność, z jaką na mnie patrzała, przywróciły mi niejako prawo do życia i podniosły moją zmaltretowaną godność człowieka. W dobrej zgodzie zmiotliśmy pozostałe od wieszery serdelki, potem wyłożyłem jej mój naprędce powzięty plan. Odprowadzę ją teraz na Wolę; jeśli tam

sytuacja się wyklarowała, tedy tam zostanie; gdy nie — znam uczciwych ludzi, którzy przyjmą ją na mieszkanie. Pieniądzy dla nich jakoś się wystaramy.

Ruszyliśmy. Dzień był śliczny i nam jakoś lekko i wesoło; droga na Wolę, aż pod omentarz prawosławny, wydała się nam aż nazbyt krótką. Przyszliśmy. Kazała mi poczekać na ulicy. Po jakimś kwadransie wybiegła rozpromieniona. Powiedziałbym — że był to już inny człowiek, człowiek, co odzyskał grunt pod nogami, a z nim śmiałość i pewność siebie. Teraz jużby się nie posłuchała twardego słowa, była sobą. Bardzo mi się w tym charakterze podobała.

Opowiadała pośpiesznie. Małżeństwo zwaśnione pogodziło się. Jej siostra usłyszała reprimendę od męża — jak mogła jej wczoraj nie przyjąć i wyprawić gdzieś na poszukiwanie noclegu. Oboje jeszcze wczoraj biegali, by znaleźć dla niej miejsce. Znaleźli — i ona zaraz tam idzie.

Tedy — skończone! Jednak przyrzekliśmy sobie widywać się, a ręce nasze, podane sobie na pożegnanie, nie chciały się rozpleść. Zajrzała mi do oczu, a z jej oczu już nie wdzięczność wyglądała, lecz poprostu rodząca się miłość.

Nie zobaczyłem jej już nigdy. Mogłaby kiedy zapomnieć o pacierzu, a ja — o policzku; nie byłem zaś w położeniu, uprawniającem do zwijania swego gniazda. Nie zobaczyłem jej nigdy, ale mimo to — dziś, gdy ją przywołam, natychmiast przybywa, jak jakieś życziwe, po-

godne, miłe tchnienie, i płyniemy sobie w serdecznym powiązaniu. Niema pomiędzy nami przegród, bo przegrody wznosi tylko występki.

...Bądź zdrów. Długie gryzmoły, co? Ale widzisz, gdy ta szara i zazwyczaj milcząca chmura, co zowie się przeszłością — spowinie człowieka i rozedrze się i głąb swą odsłoni, to podobna jest do pluszczącej a pięściwej fali, która łatwo bierze w siebie, ale nie chce wypuścić z siebie. Lecz oto — odpłynęła... Cisza wkoło mnie, tylko jakby jakieś echo odlatującej muzyki. A w sąsiednim pokoju odezwały się miłe głosy moich dzieci. Pamiętaj — przyjedź do nich, ty stary „ładny chłopcze”. Jeszcze sobie naprzypominamy i naopowiadamy niemało.

DZIECIĘ SYMCHY.

Nie żałuję — raczej cieszę się, iż umarła. Niestety, nie wiem co stało się sercu memu, które dawniej znało tylko ukochanie życia. — A dziś cieszy je śmierć, może je cieszyć skuwająca białe nożęta nieruchomości kamienna. Czyliż sprawia to myśl, że czyste stopy nie dotkną ziemi, dla której dość kilku kropli dżdżu, by powstało błoto?

I.

Była to mała, głucha stacyjka, — ką, mimo niedalekie wielkiego miasta sąsiedztwo, zabity deskami, — dziura, do której przez większą część roku nikt zajrzećby nie chciał, chyba z przymusu, lub za karę. Dobrowolnie, a może chętnie nawet, zagładano tu w ciągu paru letnich miesięcy.

Od października poczynając — zupełne pustkowie. Widziało się wpobliżu stacji domostwa pozamykane szczelnie, z zaryglowanymi okiennicami, ale nie widziało się dostępu do nich przez szeroko rozlane, czarne lub zielonkawe kałuże, a później przez zasy py sńiegu. Sklepy

zamknięte, wszędzie cisza. Gdyby nie karczma, koło której zatrzyma się czasem furmanka, a wewnątrz napotkać można paru włościan z sąsiednich wiosek lub robotnika kolejowego, — wszystko to miałyby pozór miasteczka śpiącego nawet w dzień, lub wymarłego. Opasywał je las z młodych, cienkich a wybujałych sosenek.

W zimie nawet pociągi, przebiegające tędy, nie miały mocy ożywiania pustki — o ile nie brać w rachubę ukazania się na peronie posługacza, który uderzał w dzwon stacyjny — i szuby baraniej z kołnierzem szopowym, szczelnie opiętej z przodu, a zwierzchu nakrytej czerwona czapką zawiadowcy. Ruchom tej szuby brak było żywości i dla wykonania ich mógł wystarczyć nieskomplikowany, umieszczony wewnątrz niej mechanizm. Robotnik zaś, co do którego nie zachodziła wątpliwość, iż jest żywą istotą, miewał w chwili nadejścia pociągu niezadowoloną minę człowieka, o bezużyteczności zabiegów swych przeświadczonego. Jakoż w istocie dźwięki dzwonu nie sprowadziły na stację nikogo, tylko rozchodząc się po wagonach i wpadając do uszu podróżnych, budziły w tych, którym chciało się wyglądać z okien, pytanie:

— Po jakie лихо zatrzymujemy się w miejscu, gdzie nikt nie wysiada i skąd nikt wsiąść nie może, bo wszystkiego jest tu dwu ludzi, którzy nie mogą opuścić swych stanowisk.

Złośliwi dodawali, że właściwie jest jeden tylko niezaprzeczenie żywy, bo co się tyczy szuby, to dopiero po sprawdzeniu jej zawartości możnaby orzec coś stanowczego.

Tak więc — pociągi nie ożywiały zimowej

głuszy. Tchnące gorączką, kipiące energją i pośpiechem w łączeniu ze sobą wielkich środowisk życia, stanowiły one zbyt wielkie przeciwieństwo z rozpostartą tu ciszą, snem, nudą.

Ile razy przemknął taki wóz życia i umilkły głuche, toczące się po polanach i uderzające o ścianę lasu odgłosy huku kół, w pustkę tych miejsc, natychmiast zapadały dziwnie przenikliwe akcenty smutku, i zmieszane z cichym skowytym wiatru kołatały do niezamieszkałych domostw i zaryglowanych okiennic, wołając:

— Czemu tu niema ludzi, czemu niema ich trosk i radości?

W czerwcu, lipcu — przybłąkiwał się w te strony cień życia, kolportowany przez kilkudziesięciu mieszczuchów. Oczywiście był to cień tego odrębnego życia, jakie pojawia się w miejscowościach letnich. Tchnie ono tymczasowością, czemś sztucznem, czemś co mówi o nietrwałości związku pomiędzy ludźmi i miejscem, o tem, że ludzie nie zostawiają tu cząstek swych serc, że ani ich poważne sprawy życiowe, ani uczucia nie zapuszczają tu nigdy korzeni.

Taki stosunek miejsca do ludzi daje się prosto wyczuwać nawet u rzeczy martwych i milczących. Już same te domy tutejsze, a właściwie baraki drewniane w niewybrednym smaku, wewnątrz tak niegościnnie i nieswojo wyglądające z nagością ścian i swymi śmiesznymi meblami, zdaje się, iż spoglądają na nas obojętnie, a nawet nieżyczliwie.

— Wiemy, wiemy, jak to jest na świecie. Oto trzy ćwierci roku siedzimy same; pies nawet w pobliżu nie zaszczeka. Teraz wpadli ja-

cyś ludzie, niewiadomo skąd i po co. Oni nie mają dla nas najmniejszej zyczliwości, wyśmiewają się, porównywiają ze swemi wygodnemi i zacisznemi mieszkaniami w miastach. Za pierwszym podmuchem jesieni umkną bez dobrego słowa, bez żalu, wołając urągliwie: Byle prędzej wy dostać się z tej dziury!

Rzeczom niekochanym niepodobna jest przywiązać się do ludzi, gdy naodwrot te, które kochamy, potrafią (niesłusznie miano martwych im dajemy) tysiącznemi sposoby okazać nam swoją o nas pamięć. Radzę wam wziąć to pod uwagę, byście mogli, gdy ludzie miłość waszą poranią, zwrócić ją ku rzeczom. Zawierzcie mi, iż domy i sprzęty, nie mówiąc już o drzewach i kwiatach waszego ogrodu, zdolne są ukochać was tkliwie i wiernie.

Przed kilkunastu laty N., jako miejscowość letnicza, miało dobre swe chwile. Sprzyjało mu jakiś czas powodzenie, moda. Dobijano się o mieszkania. Lasek tutejszy, posiadający ubogą roślinność i pozbawiony ptactwa, roił się zato od pięknych kobiet. Na zaśnieżonej opadłem igliwiem murawie wypoczywały liczne towarzystwa, pstrzyły się w różnej porze dnia eleganckie gałganki, batysty i zefiry, wykwintne bluzki, szlafrociki, spódniczki, pełne letniej jasności. Falą przelewała się kokieterja kobieca, zastosowana do tła i swobody lasu. Było gwarno, grywała muzyka.

Trwało to niedługo. Znaleziono miejsca nie równie powabniejsze od tej niziny, mającej za cały swój strój przetrzebioną sośninę, i nudne, rzadkim, wątlm żytem okryte pola.

Teraz przybywa tu na lato kilkanaście mniej zamożnych rodzin żydowskich i niekiedy jaki emeryt.

II

Nie wiem czy mogła dochować swą dawną postać ta chałupa w niedalekiej od N. wioszczynie, gdzie przed kilku laty czas jakiś zamieszkiwałem.

Od futryn poczynając i belkowania pułapu do podłogi — już wtedy wszystko w niej zbudowane było, popaczone; wszystko rozłaziło się w różne strony, zewsząd sypało się próchno. Nakryta wysoką, szerniałą i rdzawym mchem porośniętą strzechą, koniecznie nasunąć ona musiała każdemu porównanie do wielkiego, starego grzyba, trochę przekrzywionego na jednej nodze, zmurszałej w środku.

Przed domem, od strony drogi, był mały ogródek, bez jednego kwiatka, nawet bez murawy i chwastów, ot — szara, zaledwie odmieciona z zeszłorocznych liści ziemia. Nagość swoją, oraz liczne ślady kurzych łapek, pomieszane z tropami psów, kryła ona w cieniu zbyt gęsto natłoczonych na małej przestrzeni drzewek.

Dziwaczne towarzystwo! Wybijałe, dzikie jabłonki, nierodzące drzewa śliwkowe; brzydkie bzy, jedno nazbyt rozrośnięte wszertz, inne zbyt nio a bez wdzięku pchające się w górę, wytwarzały bezładną płataninę z kilkoma wiśniami, młodemi akacjami i krzakami porzeczek. Dla powiększenia chaosu była tu jeszcze lipa i jesion, a od drogi rząd starych brzoź. Co najgor-

sze, iż płatanina ta zgoła nie miała wdzięku. Bywają ogródki zupełnie zaniedbane, objęte zdżyczeniem, lecz mające duży, swoisty powab. Nad tym zaś mimowoli trzeba było westchnąć.

Wszystko tu wyglądało na jakieś kaleki, nośiło ślady obłamywań, było oskubane, krzywe, źle rosnące, pokurczone lub wybijałe nakształt cienkich, śmiesznych tyczek, u góry nieco liści, niby zatknięty wiecheć, mających. Drzewka te miały minę złą, uskarżającą się lub chorą. Takie sprawiały wrażenie jakby za łby się brały w wiecznej z sobą zwadzie i jakby już zdążyły powydzierać sobie całemi garściami listowie.

— Wokoło jest tyle nagiej przestrzeni, bez jednego drzewka, — słyszałeś ich użalania — a nam nie kazano wychodzić za to ogrodzenie, obejmujące śmiesznie mało miejsca, tyle — ileby ocieniała jedna lipa, gdyby swobodnie się rozrastała. W tych warunkach każdego djabli biorą i pchają do kłótni.

Miały słuszność.

Naprzykład, jesion z pniem prostym i koroną dość ładnie układającą się, — inaczej umieszczony — byłby pięknem drzewem. Rósł zaś tak blisko domu i jakiejś jabłoni, iż gdy niektórym gałęziom w rozrastaniu się przeszkadzała strzecha — inne mogły same być w błędzie, do jakiego drzewa należą; wierzchołek zaś wędził się w dymie z komina i sechł.

Ludzie tworzyli tu zgodny zespół z tem, co było w ich posiadaniu.

Niechby czarodziejska moc przyoblekła kilka różnego wieku drzew z tego ogródka w kształty człowiecze — bezwątpienia otrzymalibyśmy

wtedy gromadę istot niezwykle podobnych do rodziny gospodarza, który mi odnajmował stancję.

Tylko zamiast dziwacznie wygiętych w ciasnocie pni i pokurczonych konarów, widzielibyśmy plecy zgarbione, ramiona opuszczone ku dołowi, głowę zwieszoną na piersi.

Dziwne, nierównie dziwniejsze od drzewa, uciskanego przez swe sąsiedztwo, sprawia wrażenie człowiek niestary, krzepki, zdrowy, który nie może sprostować karku i utrzymać głowy tak, by móc swobodnie, bez dziwacznych wykrzywień kręgosłupa, patrzeć — naprzykład na błękit nieba, lub zasnuwające je chmury.

Smutne, dużo smutniejsze od zastygłych w zniechęceniu gestów karłowatych drzewek, sprawiają wrażenie zdrowe ramiona ludzkie, opadające, jakby pociągane ku ziemi, i oczy zbyt rzadko odrywające się od ścieżki, po której stępują nogi.

Nie mniemam jednak, by gospodarz mój i jego żona mieli być ponuremi ludźmi; tylko podobnie jak żadne z drzew ich ogródka nie może przybrać pozorów wesela i swobody, jaki mają drzewa parkowe, — i oni poprostu nie mogą wydobyć z siebie wesołości. Żywioł ten jednak nie był im obcy, tkwił w nich ukryty i niedorozwinięty, budzony do życia jednym tylko niezdrowym, zjadliwym środkiem — wódką. Oczywiście, skoro wesołość, ożywienie i jakieś szybsze tętno myśli mogło być wydobyte zapomocą tak lichego środka, to czemuż tego samego nie miałyby dokonać inne — szlachetniejszej natury.

Tak, lecz człowiek bierze to, co ma pod ręką, nie to, co jest za górami i morzem. Wódka jest pod ręką, a książka, wrażenie estetyczne — za górami.

Uważałem, że po każdym święcie i niedzieli ramiona tych ludzi zwisają z większym zniechęceniem, a oczy uporczywiej świdrują ziemię.

Trudno było mieć jakąkolwiek wątpliwość co do tego, iż myśli ich trzymają się, również jak oczy, wciąż jednej ścieżki, niesłuchanie wąskiej i okręcającej się w kółko, a duch uderza z każdej strony o zamknięcie swej ciasnej skorupy, której bez pomocy z zewnątrz sam przebić nie może. To zaś jego daremne tłumaczenie się i szamotanie odnosi tylko ten skutek, że skorupa dziwacznie się wygina i wykrzywia, przybierając odstraszaający pozór.

Takie drzewa, tacy ludzie.

W jednych i drugich tkwił głęboki smutek nieuświadomionej niewoli. Od jednych i drugich daremniebyś próbował wydobyć słowa związane z treścią ich bólu, lecz bezwiednie wypowiadali je — pierwsze w mimowoli przybranych kształtach i zastygłych gestach, drudzy — cieniem swych oczu, ociężałością chodu, brzmieniem mowy.

Było tu jeszcze stworzenie, przejęte do głębi tym samym, najcięższym ze wszystkich — smutkiem z braku swobody.

Pies — uwiązany dniem i nocą.

Czy gdy szarpał swoim łańcuchem, czy gdy próżnych zaniechawszy wysiłków i miotania się przysiadł na śmietniku koło budy, wkładał on w swe szczekanie naprzemian rozpacz i tęskno-

tę, wściekłość i zazdrość, a na ostatku — płacz. Istny płacz niemocy. On jeden wypowiadał swój smutek bezpośrednio okrzykiem i skargą.

Dziwne— iż takie rzeczy znajdziesz, nie szukając. Rzuć kamień na chybił trafił, od powie ci odgłos jego upadku, rzuć myśl gdzie bądź, odpowie ci jęk czyjegoś bólu.

III

Oczywiście, zwrotki piosnki, którą dni, uchodząc, wydzwaniały mi w tej wioszczynie, nie mogły budzić zajęcia, podobnego temu, jakie budzą naprzykład kuplety w operetce. Niezupełnie jednak zgodziłbym się na nazwę „prostej” dla tej piosenki.

Prostem często nazywamy to, nad czem nie chce się nam myśleć. Prawda? Ileż razy, wcale nie odgadłszy jakiejś zagadki, mówimy: „To takie proste, dziecinne”, — byle tylko nie dać poznać, ile czasu zabrałby nam namysł. Wogóle tym sposobem bronimy się od zgłębiania rzeczy, w których domyślać się należy złożoności wielkiej, a niemiłej, może nudnej, a może — co gorsza — takiej, iż z jej rozwikłaniem odniosłyby uszczerbek nasze interesy, zeszczuplałaby sfera naszych przyjemności. „Lepiej nie poruszać licha” — myślimy, a na głos odpieramy niebezpieczną pokusę słowami: „To takie zwyczajne, znane, codzienne; to było — jest i będzie”.

Piosnka, która zawiera treść ranków, dni, wieczorów i nocy, uchodzących w wiosce pod N., nie jest ubogą w słowa, przeciwnie, obfitu-

iącą dla tych, co słuchać chcą. Którzy słuchać nie chcą, zbywają ją krótko: nudna.

Prawdą jest, że krtań, ubierająca ją w dźwięki, jest nieuczona. Śpiewacza krtań przyrody, chłopów, zwierząt, drzew, ziemi i powietrza — lubi powtarzać jedne i te same dźwięki, jak wszyscy nieuczni śpiewacy. Stąd jednostajność tego śpiewania nieco smutna, jak jednostajność piosnki suteryn, zaułków, nor i poddaszy, gdzie głos roztrąca się wśród kamieni i cegieł.

Przyroda jest wielką, jest otchłanną, jest macierzą. Ona chce i umie wyssać najzjadliwszy smutek, który odczuwają jej cząstki. Gdzie podzieją go ci, kogo otacza kamień, którym całą ich macierz zastania kamień! On jest macierzy tej częścią najmniej czułą (choć bynajmniej nie martwą), najbardziej zasępioną.

Więc pieśń, której echo tłucze się wśród kamieni, już nie jest samym smutkiem, samą szaryzną, ani samą jednostajnością.

Gdy wahadło życia nędzarza porusza się między murami miejskimi, udziałem jego staje się dziwna samotność, w której — rzekłbyś — iż tylko szmer, wytwarzany ruchami tysięcy innych wahadeł i zgrzyt od ich wzajemnych potrażeń słyhać. Przeniesione na wieś, bezwiednie, oplątuje się ono niemi istnień, postronnych, drobnych bytów lubiących kojarzyć się z bytem człowieka, wlecze je za sobą i czasem — dzięki im — w żalostnej bezcelowości swych poruszeń natrafia na jakiś, chociaż nikły, cel.

Zawsze z piersi stworzeń posmutniałych przyroda część troski wykrada — (by może cień jej rzucić w przeżrocza dusz zbyt szczęśliwych).

Powtarzałem to sobie przed laty kilku w N., patrząc na pewną istotę, młodą dziewczynę, której życie wydawało mi się ogołocone ze wszelkich radości.

IV

Byla to Żydówka lat szesnastu, lub siedemnastu.

Razem z swoją matką, leciwą kobietą, trudniła się ona roznoszeniem pieczywa po samym N. i paru okolicznych wioskach, w których prócz miejscowych włościan przemieszkiwali robotnicy z sąsiedniej cegielni i jakiejś fabryki podmiejskiej.

Jedno z tych stworzeń Boskich, które można widzieć codzien — a nigdy nie zauważyć.

Przekonany jestem, że mnóstwo ludzi, codzien bułki z jej koszyka wybierających, nie znało dobrze ani brzmienia jej głosu, ani rysów twarzy. Spotkawszy ją bez koszyka, inaczej ubraną, nie w codziennej, wyblakłej, zbrudzonej i obszarpanej u dołu spódnicy, a zwłazsza bez tej czarnej, włóczkowej chustki, którą obwiązywała sobie głowę, wielu nie wiedziałoby, iż mija swoją roznosicielkę chleba.

Znano ją, jak się zna rzecz jaką. Każdy rozumie, iż koszyk z bułkami sam nie będzie latał od domu do domu. Trzeba się z tem zgodzić, iż ktoś musi go nieść. Szczerze mówiąc jednak, zajmowała ludzi tylko zawartość koszyka.

Byli stali odbiorcy pieczywa, którzy nie wiedzieli nawet, jak zowią się matka i córka. Żydówki. Żydówka stara, Żydówka młoda. „Nie

piekłam wczoraj chleba, muszę go wziąć od Żydówki" — mówiono; albo: „Nie widzieliście tam gdzie Żydówek z chlebem?”

Gdy któregoś dnia nie chodziły razem po wsi, lecz zosobna, zadawano sobie potem pytania:

— Od której Żydówki braлиście dziś chleb?

— Od młodej. Nie, od starej. Ale nie, napewno od młodej. Zresztą, to już dobrze nie wiem.

Wprawdzie nosiły się zupełnie jednakowo ubrane, ale, oczywiście, przy drobnym napięciu uwagi wątpliwość taka byłaby niemożliwą; jeśli więc zdarzała się, dowodzi to, jak dalece osoby roznosicielki były ludziom obojętne.

A jednak uwaga ludzka pochwytywać może bardzo drobne rzeczy. Mieszkając w owej chacie, nauczyłem się rozpoznawać z pośród kilkunastu uwijających się dokoła niej jaskółek dwie mieszkanki gniazdka, w którym było sześcioro małych. Z mnóstwa napływających przez okno głosów, nauczyłem się rozróżniać zgodne dzwonienie słabiutkich głosików — jakby kto potrząsał szklannymi paciorkami — ilekroć jedna z tych jaskółek zajrzała do gniazdka. Przekonałem się również, że leżąc na ziemi, zainteresować się można bytem kilku ździebeł trawy i uwijających się wśród nich owadów. Nie mogę więc przypisywać sobie nadzwyczajnej jakiegś bystrości uwagi z racji tej, że zauważyłem dwie istoty ludzkie, codziennie napotykanne.

Ponieważ nie obchodzi mnie wiele kształt bochenka, ani jego waga, ani to czy skórka na chlebie przyrumieniona jest, czy blada, z wiek-

szą zatem bacznością mogłem przyjrzeć się chleba tego roznosicielkom.

V

— Pieczywo z miasta — bułki, chleb — weźmie pan?

Za oknem stały dwie kobiety, każda z dużym koszem na ręku.

Pomimo, iż to był dzień ciepły, czerwcowy, głowy ich były pookręcane grubemi, włóczkowemi chustkami, jak u ludzi w najwyższym stopniu cierpiących na zęby. Z nieosłoniętych tem czarnem obwinieciem otworów, pełnych cienia, wyglądały tylko oczy z częścią czoła i nosem.

Jedna ich para miała białka zaczerwienione sięcią żyłek, mętność w piwnej barwie tęczówki i mętność w samym wejrzeniu, podkowę pod każdym okiem głęboko odcisniętą w naskórku wzdętym jakby od żaru i zrumienionym. miała z kątów ocz rozsypujące się w niezliczonym mnóstwie drobnych fałdek łapki kurze, a wreszcie — powieki ociężałe, zwiędłe, które mrugały ustawicznie, może dla odpędzenia osiadającej w oczach bezmyślności.

Druga para oczu miała urok.

Jest to coś, co uderza o wrażliwość naszą wpierw, zanim rozpatrzymy się w cechach szczególnych, co sprawia, iż mówimy — ładne, nie ustalwszy jeszcze dokładnie barwy, tęczówki, co przeszkadza w badaniu, utrudnia egzamin tak łatwy, gdy idzie o wyblakłe oczy starej kobiety lub choćby młode, lecz nie mające uroku.

Rozmaity on bywa. Ten urok był bardzo miękki, bardzo czuły, czułością, w której z kobiety bywa cośkolwiek, a z dziecka dużo — cała jego nieśmiałość i cała czysta, lękliwa chęć przypodobania się. Dobrze, bardzo czułe a nieśmiałe dziecko było w tych oczach i to właśnie najpierw spostrzegłem, a następnie dopiero wspaniałą czerń wielkich tęczówek, błękitny cień nasycający białka, piękność długich rzęs.

Parę kobiet wiejskich podeszło do koszyków.

— Świeży chleb, świeże bułki — zachwalała dziewczyna.

Po skończonym targu Żydówki oddaliły się.

Patrzałem za nimi, gdy szły drogą, wzdłuż blado-żółtej, przesianej słonecznymi połyskami ścianki, którą tworzyło dojrzewające, wysokie żyto.

Żałośnie niepowabne sylwetki! Szare, nędzne kaftany; szare nędzne spódnice; te głowy czarno spowinięte; postacie, jak przełamane! Ciężar kosza na prawym ręku zniewala je do przechylenia tułowia na lewo i wyciągnięcia lewej ręki Bose, stąpały z wysiłkiem, piętami zaorywając po piasku. Znikły mi na miedzy, którą udały się zapewne dla skrócenia drogi do końca wsi.

Odtąd widywałem je codziennie, a czasem zachodziłem z nimi w rozmowę.

VI

— Ależ mnie wcale zęby nie bolą!

Rozśmieszyło ją moje posądzenie, iż cierpi na fluksję.

— Pan myślał, że mam twarz spuchniętą.

Zesunąwszy chusteczkę niżej podbródka, odsłoniła swe szczupłe policzki. Była to twarzyczka dziewczęcia wątłego, powabna, ale nie mająca jędrności i świeżej cery zdrowia; wyglądała by mizerniej, gdyby nie odrobina złocistości na policzkach i czole. Opalić się w turbanie swoim nie mogła; jednak musiało słońce zaglądać do nieosłoniętego otworu, bo bladość jej leciutko cieniem złotawym przysłoniło.

Zato usta dziewczynki — małe i ładnie narysowane, żaden pędzel różem nie powlókł; mówiły one zbyt wyraźnie o niedostatku krwi.

— Brzydko w tej chustce wyglądam — wiem o tem—ciągnęła z milutkiem zawstyżeniem.— I zawsze mnie ludzie częstują lekarstwem na zęby.

— Więc pocóż umyślnie się szpecić?

— Tak, z przyzwyczajenia. Czy ja wiem zresztą. Mama toby panu wytłumaczyła.

Zwróciłem się z zapytaniem do starej, ale ta za całą odpowiedź tylko szybciej mrugać zaczęła, ukrywając w oczach wyraz zakłopotania i nieśmiałości, która mnie zawsze wydaje się wzruszającą u ludzi wiekowych.

Nie nalegałem.

Później przyszło to jakoś samo z siebie, iż Symchowa nieraz dość chętnie, bez wypytywań, opowiadała mi coś o sobie i córce, o „naszej biedzie”.

Mówić: „ach, ta nasza bieda” — było jej przysłowiem.

„**N**asza bieda” w postaci dotkliwej zaczęła się — pojąć to łatwo — z chwilą, gdy Symcha wozem czarnym odwieziony został na kirkut.

Był to człowiek bardzo umęczony niepowodzeniem w handlu sklepikarskim i jakąś przewlekłą chorobą; tak „delikatny” — według słów wdowy — i tak naostatku już zwątlony niezdro-
wiał, że chodząc, stąpał z nadzwyczajną ostrożnością, jakby w swym wnętrzu nosił niezmiernie kruche a szacowne naczynie. Ostatecznie musiało ono pomimo całej troskliwości ulec stłuczeniu, co tak zmartwiło Symchę, iż umarł. Sądzę, że nie mógł inaczej uczynić, ponieważ to jego drogie naczynie zapewne nie było czem innym jak właśnie naczyniem życia.

Po utracie męża został Symchowej jej własny, cały i nienaruszony dzban zdrowia. Co prawda—za cały majątek,—dodawala z westchnieniem. W córeczce zaś tkwiło (smutna po ojcu spuścizna) naczynie bardzo delikatne, bardzo kruche, może szklane lub kryształowe, z drogiego kryształu, jak u Symchy, wymagające nadzwyczajnej uwagi, opieki i troskliwości, żeby się nie stłukło.

Symchowej nie potrzeba było napędzać do czuwania nad zdrowiem małej. „Mój skarb jedyny”. To słowo wszystko tłumaczy: komuż to zalecać trzeba, by dbał o swój skarb jedyny. Swoją drogą przyznać musimy — bo i Symcha przykładem swym to stwierdził — że troskliwość ludzka, nie poparta pieniędzmi, które dają

możność zaspokajania potrzeb dziecka wątłego, lub starca słabowitego, tyle bywa pomocną, co chuchanie na ranę. Symcha chuchał, dmuchał na siebie, na swoje zdrowie, stąpał bardzo ostrożnie; cóż z tego, kiedy jednocześnie mało jadał, mało pijał mleka, krótko mógł wypoczywać — i naczynie stłukło się. Toż samo — pomimo całej matczynej troskliwości — nastąpić mogło i z kryształową konchą, w której trzepotał się duch życia dziecka, duch tak skory do odlotu.

Czemu więc przypisać, że dziewczeczka nie umarła pomimo ciągłego pisku i dokuczania biedy?

Jeśli nie zabiegom stworzenia śmiertelnego, jakim jeszcze była Symchowa, to chyba — istoty nieśmiertelnej, jaką już wtedy był Symcha. Napewno — jego zabiegom. Tylko istota, która przeszła już przez śmierć, pokonała ją niejako, a przynajmniej wyrwała z jej zębów najlepszy kęs swej istności i wyniosła go ponad ziemię, — tylko ona może skutecznie poprzeć sprawę jakiejś nędznej drobiny ziemskiej. A pośród wiecznie żyjących jeden Symcha mógł w tym razie coś zdziałać, bo któżby obcy zechciał się troszczyć o los jego córeczki na ziemi.

To Symcha wstawiał się, Symcha przemawiał za nią. Może nie do samego Jehowy, może do najniższego z jego sług — ale to on przemawiał i z dobrym skutkiem.

Musiał jednak przebyć ciężką chwilę, lękliwy Symcha! Żona jego, myśląc o tem, uprzytomniała sobie doskonale te wielkie kołatanie serca, to bolesne zaciśnięcie gardła i olśnienie

w oczach, jakiego doznawać musiał — inaczej być nie mogło — Symcha, gdy przemówić miał do najniższego ze sług Jehowy. Ale szło o dziecko, o własne dziecko — więc zwyciężył strach, właściwy osobom delikatnego zdrowia, i przemówił.

W miarę zaś jak pozbywał się bojaźni (— i to uprzytomnia sobie Symchowa), głos jego, do służki Jehowego zwrócony, stawał się pełny brzmień tkliwych, do głębi przejmujących, pełny błagania pokornego i zakłęcz, aż wreszcie przeszedł w ton uroczysty i poważny.

Dreszcz od stóp do głów wstrząsa Symchową na myśl, jak uroczystym i wzruszającym musiał być głos jej męża, gdy mówił:

— Panie, — oto wstawiam się za moją córeczką, na którą czyha bieda, choroba i śmierć.

VIII.

Był więc Symcha i po śmierci użytecznym swej rodzinie. A swoją drogą wdowa, cokolwiek zdziałać mogła sama bez duchowego poparcia nieśmiertelnego Symchy, tego nie zaniedbywała. Mało jednak dobrego, mało przyjemności świadczyć mogła dziecinie. Ot — tyle, że oszczędzała jej siły.

Do jedenastu lat nie wolno było Esterce ani tknąć się pracy, jakiegokolwiek ciężaru, jakiej posługi.

— Ja ciebie proszę, nic nie rób, tylko żyj. Tem zrobisz mi największą łaskę — mawiała, gdy dziecko, znudzone beczczynnością i leżeniem,

chciało dla rozrywki pomóc jej u komina, przy gotowaniu strawy, lub nieść za matką koszyk.

W myśli dodawała:

— Symcha miał tam niemało kłopotu, zanim wyprosił, wyjęczał o trochę zdrowia dla tego mizeractwa.

Rozleniwiona pieszczotami matki, wracała dziewczyna ulegle pomiędzy bety, rozrzucone na łóżku, które nigdy nie było zaścielanem, by ona kiedy zechce, mogła wsunąć się pod pierzynę.

Rychło jednak Esterka, odczuwając doskonale — jak każda pieszczoszka — samowładztwo panowania swojego, poczęła okazywać wolę na przekór zarządzeniom matki. Ale, dobrem będąc dzieckiem, nie używała przywilejów swych na złe. Raczej przeciwnie.

— Do czego to podobne, żeby taka duża dziewczyna jak ja, nic nie dopomagała matce. Rosnę na pośmiewisko ludzkie, a czy to potem będzie się chciał kto ze mną ożenić, skoro wszyscy się dowiedzą, że jestem do niczego. Ja mamę przekonam, że koszyk pełny chleba zainoszę od naszego mieszkania do cegielni — i nic mi nie będzie.

— Nie rób tego, moja Ester, ja cię bardzo proszę.

— Właśnie, że zrobię — odparła, gniewne matce rzucając spojrzenie, i chwyciła za pałąk kosza.

Symchowa nie chciała jej drażnić. Nie można drażnić wątlých dzieci, należy pamiętać, że to są kruche, kryształowe naczynia, ulegające stłuczeniu, przechowujące się w całości tylko

dzięki wstawiennictwu nadziejskich istot. Nic więc już nie mówiąc, ujęła co prędzej kilka bochenków z kosza, by uczynić go lżejszym.

Do cegielni nie było zbyt daleko. Dziewczynka doniosła tam ciężar, wyprzedziwszy nawet matkę, i bardzo zręcznie ukryła swe zadyśnianie, oraz ten szczegół, że naostatku koszyk sam wysunął się z jej rąk, w których czuła wielki ból.

— Ot, cała parada, cała wielka sztuka, — zawołała, powstrzymując z największym wysiłkiem łzy. — Chce mama, to jeszcze dalej zaniosę?

Symchowa, naturalnie, ani słyszeć o tem nie chciała. W następstwie zaś kupiła mniejszy koszyk dla Esterki i brała ją z sobą do roznoszenia bułek tylko w obrębie samego N., odsyłała zaś dziewczynkę do domu z chwilą, gdy sama miała iść dalej, po wsiach. Co prawda, i ów mniejszy koszyk nieraz wyciskał małej łzy, ale nikt ich nigdy nie dostrzegł.

Minęło parę lat. Córka Symchy wyemancypowała się zupełnie, to znaczy — że szła wszędzie, gdzie matka, do krańca ostatniej wioski, gdzie tylko kupowano od nich chleb, — że koszyk jej nie był mniejszy, niż matczyzny, i że to ona teraz ukradkiem z koszyka matki do swego przekładała parę bochenków, by ulżyć starej.

Zbyt wiele dobrych stron miał ten nowy układ rzeczy, by Symchowa, miała sarkać. Przedewszystkiem cieszył ją widok dziewczęcia, mogącego podołać ciężarowi kosza z chlebem. Takie było cherlawe dziecko— i oto patrzcie, jak silna z niej pomocnica.

Dalej — ciągnęła obecność córki w tych wędrówkach napełniała matkę jakimś miłem, choć mało uświadomionem uczuciem cichej, wewnętrznej radości. Dawniej, gdy szła sama od wsi do wsi, pomiędzy milczącymi polami, inne nawiedzało ją uczucie — troski, niepokoju o małą, lub tęsknoty bez określonego powodu. Przypominał się jej wtedy Symcha. Niechący poczyniała zagłębiać się w myślach o nim, próbowała wyobrazić sobie terażniejszy byt jego, np. co on robi rano, a co wieczór, lecz wyobraźnia jej natrafiała na zapory i trudności dziwne. Zniechęcona podnosiła oczy ku olbrzymiej kopule nieba, ale co prędzej opuszczała je, bardziej jeszcze przestraszona jej ogromem, milczeniem i skrytością.

Teraz nic podobnego Symchowej nie dokucało. We dwie i to we dwie z *córką* — jakże to rażno, jak dobrze. Inaczej nogi człowieka niosą, a ręce przestają się skarżyć na ciężar; nie nawiedzają głowy zbytuczne myśli, odczuwa się spokój, pełny słodczy.

Latem, gdy się zmęczą, posiadają sobie na miedzy. Żyto z jednej i z drugiej strony zasłania je przed całym światem; sądzą, że to jest ich własny kącik, gdzie nikt natrętny nie zajrzy.

Jest w tem coś tak przyjemnego, że natychmiast ustępuje zmęczenie. Esterka podnosi się, zapomina o koszyku i ostrożnie rozgarniając źdźbła żyta, wyszukuje bławatków.

Czy czuje wtedy, iż każdy jej ruch pieszczony jest i całowany spojrzeniem tych oczu, które pod mrugającymi ustawicznie powiekami, zdają się, iż ukrywają tylko bezmyślność? Symchowa w istocie mało myśli, mało rozważa i rada jest temu, gdy nic nie następuje powodu do rozmyślań, z których zazwyczaj nic miłego nie wynika. Ale zato całą swą istotą odczuwa słodycz takiej chwili a nadto wielką dla kogoś wdzięczność.

Cośkolwiek przytem myśli.

Oto powtarza sobie:

— Moje dziecko żyje — jest zdrowe i zbiera bławatki.

X

Prócz odrobiny zdrowia (tyle co na codzienną potrzebę — mawiała Symchowa), wyjednał poczciwy Symcha — może za jednym zachodem — nieco też urody dla swojej dziewczeczki.

— Czyś ty dobrze zrobił, Symcha, żeś o to prosił?

Takie pytanie żona jego próbowała mu przesłać z ziemi.

Nie dręczyłaby jej wątpliwość i samaby sobie odpowiedziała: „Doskonale zrobił mój mądry i zacny mąż” — gdyby układ ziemskich rzeczy obdarzył Symchową wyłącznym prawem napawania się urodą Esterki, przynajmniej do ja-

kiegoś czasu. Niechby potem prawo to przeszło na mężczyznę — daj Boże, dobrego i bogatego — któryby Esterkę poślubił. Ale mrzonką jest taki układ: niepodobna wszystkim ludziom oczu zawiązać — to jedno, a drugie — iż dobrzy i bogaci niezbyt są skorzy do żenienia się z ubogimi dziewczętami, roznoszącymi chleb.

A jednak jakie ładne bywają między niemi.

Gdy o świcie bladawym, białawym, Esterka wstawała pierwsza, matce nie dając jeszcze opuścić łóżka, gdy na jego skraju siadała (— tylko oczy matki znały tę chwilę) w samej koszulce, niezbyt zazdrosnej o jej szyjkę, ramiona, ręce i nóżki, czuła Symchowa, iż od jej dziecka bije świeżość pachnąca, świeżość młodych lat i niewinnego ciała, świeżość, jaką mają tylko co zerwane bławatki, lub zazielenione pole, pąki topolowe lub młode pędy w sosnowym lesie.

A kiedy upięło jej dziecko swe czarne sploty na główce kształtnej a niewielkiej, i zwróciło do matki swą twarz, której białość zaledwie owiana była złocistem na policzkach przyćmieniem, mogły oczy Symchowej ile chcieć mrużyć — nie odpędziłyby myśli:

— Śliczne jest moje dziecko.

Cóż kiedy śladem tej myśli leciał zaraz podszept zjadliwej troski.

— Bardzo śliczne. Ale czy to potrzebne dziewczynie, którą świt wypędza na ścieżki lesne, na drogi wśród pól głuchych i niemownych, puste — lub, co gorsze, nawiedzane przez ludzi niepewnych z podmiejskiej okolicy.

Włóczęga podmiejski, mogący każdej chwili zamienić się w napastnika, był zawsze postra-

chem i zmorą Symchowej. Nie obawiała się chłopów w wioskach, nie obawiała się robotników z cegielni lub fabryki, koło której przechodziły, tylko tych postaci tak nieokreślonych, trudnych do przeniknięcia, jak ich zajęcie, osobników, zdala cuchnących wódką, ziejących wstrętnymi wyrazami, lubujących się w zaczepkach. Takiemu na pustkowiu pokazać młodą i ładną twarz — rzecz to zdradziecka.

Ten był powód, że udając się na codzienną swoją wędrówkę, obie — matka i córka były ubrane zawsze jednakowo (— niech złe oko nie odróżni młodej od starej), że głowy miały wiecznie obwinięte chustkami, które zasłaniały im również pół twarzy. Nosiły się nędznie i szaro. Symchowa chętnieby obsypała siebie i córkę pyłem z gościńca, byle zniknąć, uczynić się niewidzialnymi na jego szarem tle.

XI

— Ja się tak bardzo nie boję — kiedyś do mnie mówiła Esterka. — Czasem sama chodzę. W piątek mamy trochę więcej domowej roboty u siebie, więc — żeby prędzej załatwić się z roznoszeniem chleba — mama idzie do Lisówki, a ja w drugą, na Czarny Borek.

— Nigdy się nic Esterce nie przytrafiło?

— Nie. Raz jeden gonił mnie jakiś pijak. Była wtedy po deszczu wielka woda na drodze — przebrnęłam na drugą stronę, a tam trafił mi się kawał cegły, który podniosłam i pogroziłam nim temu człowiekowi. Dał mi spokój. Pewnie się nie tyle zląkł kamienia co wody.

Bardzo była zabawna i milutka, gdy to opowiadała.

— Gdyby jednak i on zdecydował się przebrnąć kałużę, czy też Esterka ugodziłaby go tą cegłą, czy potrafiłaby się bronić?

— Ale gdzie tam, możebym odrazu umarła ze strachu, albobym prosiła, żeby mnie już prędzej zabito.

— To źle. Nigdy nie potrzeba odrazu dawać za wygrane; broniąc się, można chociaż zyskać na czasie, może ktoś nadejść z pomocą.

Esterka chwilę milczała, namyślając się.

— Zapewne — rzekła potem — zresztą czy ja wiem, gdyby naprawdę było już źle — może strachuby się nie czuło, możebym potrafiła się bronić jak kotka zaczepiona — pazurkami i zębami. Ale, Bogu dzięki, nikt mnie nie zaczepia, nikt nie patrzy nawet na mnie. Myślą — ot, stara jakaś baba z zawianą głową.

— Jednak przykro to robić z siebie zawsze coś niby straszdyło — wtrąciłem.

Roześmiała się wesoło.

— No, nie zawsze. W sobotę ubieram się trochę inaczej.

Jakoż, gdy wypadła mi którejś soboty potrzeba udania się na stację w N., spotkałem tam Esterkę w jej świątecznym ubraniu.

Było to przed nadejściem pociągu, czyli w godzinie, kiedy oczekiwanie na przelotne wrażenia rozprasza chwilowo całodzienne nudy letników w N. Kto żyw ściąga wtedy ku stacji.

Na peronie, pod werandą i w pobliskim łąsku roili się czasowi mieszkańcy owych domków, tak mało okazujących wesela latem i zimą.

Przeważnie byli to współwyznawcy Esterki, liczny zbiór żydowskich typów drobnomieszkańskich. Mężczyzn niewielu, kobiet i dzieci dużo. Są to żony kupców mniej zamożnych, komisantów, subjektów, które, nie mogąc pozwolić sobie na droższe letniska, ściągnęły do N. dla taniości, w towarzystwie wszystkich swych sióstr, kuzynek, ciotek i dalszych krewnych, tak potrzebnych do wspólnego spędzenia czasu, a może i dla rozłożenia kosztów mieszkania na większą ilość płatników.

Dziwnie był jednostajnym typ twarzy kobiet — twarzy bardzo białych i pulchnych z mięsistymi, wydatnymi nosami, grubymi wargami. Wolne szlafroczyki mężatek nie czyniły tajemnicy z obfitości ich ciała, z obwisłych piersi i czegoś nalanego i ociążałego w całej postaci.

Kilku dziewczętom jednak nie można było zaprzeczyć urody, mającej wybitnie zmysłowe piętno. Były ładne, świeże, ponętne z falującymi jędrnymi piersiami, biła od nich jakaś szczerść zdrowia, otwarcie wyznana przewaga ciała nad duchowością. Kibicie ich — zdawało się, iż naiwnie chwalić się chcą macierzyńskim przeznaczeniem kobiety.

Śród nich Esterka w czarnej spódniczce i staniku blado różowym, gładkim, zdaje się, jedwabnym, chwaliła się tylko wdziękiem. Ileż go w niej było! Jak trudno było dziś ją poznać, jak trudno uwierzyć, że jej powszedni, odrażający strój mógł ukrywać tak śliczne stworzenie. Wdzięk osiadł w kształcie jej główki i zgrabnym jej osadzeniu, w upięciu włosów, owalu twarzy, zaokrągleniu ramion, w zarysie piersi

dziewiczych, drobnych, wstydliwie ukrywających swą kobiecość — równie jak w lekkości ruchów. Był też w naiwnem rozradowaniu oczu i półdziecięcej chęci przypodobania się, tkwiącej w uśmiechu Esterki.

Na ławce, w kącie werandy, siedziała Symchowa w odświętnym czepcu z wstążkami.

Dobra wdowo Symchy, jakże mi łatwo było odgadnąć jedyną myśl, która snuła się wtedy po twej nielubiącej długich rozważań głowie.

Myślałaś wtedy:

— Albo moje oczy już nic nie warte, albo to dziecko moje jest najśliczniejsze z tych wszystkich pań i panien.

Chętnie ci przyznałem słuszność.

Nazajutrz zrana, spotkawszy Esterkę w zwykłej jej postaci czarno-szarej, nędznej poczwarki, nie mogłem się powstrzymać od powiedzenia jej, jak ładnie wczoraj wyglądała i jak korzystnie wypadało porównanie z innymi paniami.

— Doprawdy? Bardzo dziękuję panu. Jeszcze tego od nikogo nie słyszała.

Biedactwo, — więc to był pierwszy komplement w jej życiu.

XII

Nie przypominam sobie, bym potem z nią rozmawiał. Nie — z pewnością, to było po raz ostatni.

Gdym ją następnie zobaczył — już to nie była Esterka — już to nie był słodko pachnący i śliczny kwiatek, tylko biedne, martwe

ciało, skulone pośród zbielałego od dojrzałości żyta, na wąskiej miedzy, i nakryte rogożą.

Zdaje mi się, iż w pobliżu był kopiec graniczny, a na nim siedział, pykając fajeczkę, człowiek stary, któremu polecono zapewne pilnować trupa do zejścia władz i lekarza.

Odchyliłem rogożę. Musiałem to uczynić, pomimo całą bolesność tej chwili; musiałem pożegnać dobre dziecko Symchy. Ach, ten ślad na policzku, ziemią powalany.

Co się stało? Nic nadzwyczajnego. Doskonale pamiętam, że to było opisane drobnym drukiem: „Na polach podmiejskiej wsi Czarnego Borku znaleziono zwłoki młodej dziewczyny, Żydówki, ze śladami gwałtownej śmierci. Sprawca poszukiwany“.

Pojmano tego człowieka. Był to włóczęga podmiejski. Na bocznej i mało uczęszczanej drodze polnej — tak brzmiało jego zeznanie — napotkał Żydówkę. Był pijany, zdarł z niej chustkę i zobaczył twarz młodej dziewczyny. Broniła się zajadle, ugryzła go i podrapała. Nóż wyjął po to tylko, żeby jej pogrozić; w jaki sposób nadziała się na ostrze — on nie ma pojęcia. Sekcja wykazała, że gwałt nie miał miejsca.

Biedactwo, niema brylantów na ziemi, któreby warte były twej ostatniej łezki. Śpij. Gdyby żal po ziemi miał być tą kołatką, na odgłos której umarli obudzą się kiedyś i wstaną, — czy ty wstaniesz? Może — nie. Może myślą się ci, co twierdzą, iż zostawia się na ziemi coś godnego żalu.





BIBLIOTEKA DOMU
POLSKIEGO

jest wydawnictwem
książkowym,
które
powinno się znajdować
w każdym
kulturalnym
polskim domu.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH I
BIBLIOTEKA
90-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

List zwrotny.

Niniejszem zamawiam, od bieżącego kwartału począwszy, książki Biblioteki Domu Polskiego w $\frac{\text{wyd. luks.}}{\text{wyd. zwyk.}}$ Należność w kwocie zł. $\frac{9,90}{6,50}$ wpłaciłem równocześnie na Ich konto w P. K. O. Nr 9779 — w urzędzie pocztowym

Jednocześnie zamawiam komplet złożony z _____ książek uprzednio przez B. D. P. wydanych, a figurujących w katalogu B. D. P. pod Nr. Nr. _____

Należność za powyższe, licząc po 70 groszy za tom, w sumie zł. _____ wpłacam na konto P. K. O. Nr. 9779 — proszę pobrać za zaliczeniem.

Podpis

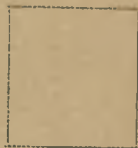
Imię _____

Nazwisko _____

Adres _____

Poczta _____

Do
Biblioteki Domu Polskiego



w Warszawie

ul. Chmielna 61.

F

21.836